Nr. 5. Poznań, Niedziela 3-go Lutego 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 m.****; na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 47 hal.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,90 mr.****, w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.*** *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Panu Podbielskiemu

na zaczepkę naszego wydawcy odpowiemy w następnym numerze.

Na razie musimy z konieczności zaznaczyć, że hakatystyczny pomysł p, Podbielskiego, jak niemniej i jego argumentacya, ciętość i dowcip — wprowadziły po prostu w zadumę cały świat cywilizowany! — —

Winszujemy zatem p. Podbielskiemu — zasłużonych laurów na tem polu i podobnych dalszych sukcesów! — —

Do widzenia więc panie generale w przyszłym tygodniu...

Redakcya „Pracy."

Od Redakcyi.

Z rozmaitych stron zapytywali nas już Czytelnicy nasi, dlaczego dotychczas jeszcześmy — jak zwykle dotąd po rozpoczęciu nowego kwartału — nie donieśliśmy wcale, jaki rezultat odniosła agitacya przyjaciół naszych za „Pracą." Nasi zwolennicy, czując dobrze, jaką doniosłość ma powiększenie liczby abonentów takiego jak „Praca" pisma, nawołującego do radykalnej a jawnej obrony interesów polskości wobec Prusaków, mieli może w cichości serca obawę, czy te wszystkie rewizye, procesy, więzienia nie złamały naszej energii w rozszerzaniu „Pracy", lub uporczywe ataki hakatyzmu na nasze pismo nie doprowadziły — z podwyższeniem abonamentu — do zmniejszenia się liczby naszych czytelników.

Dziś otóż uspokoić możemy tego rodzaju obawy zacnych naszych przyjaciół, rozczarować też musimy hakatystów, którzy się spodziewali, że choć z kilka set czytelników ubędzie „Pracy". Nietylko nie ubyło, ale przybyło nam w tym nowym kwartale kilkuset czytelników, *pomimo tych ataków hakaty, pomimo podwyższenia abonamentu i droższej taryfy pocztowej, obliczonej na podkopanie bytu polskich gazet.*

„Praca" wstępuje w rok nowy i stulecie nowe, *przekroczywszy już ową trzynastkę tysięcy — wstępuje z pełnem przeświadczeniem, że wzrastać będzie wciąż odpowiednio do wzrastania patryotycznego uczucia w sercach polskich i że tak jak dziś hakata nas ściska, tak my kiedyś hakatę ściśniemy zwartą obręczą tysięcy rozbudzonego narodowo ludu polskiego.*

Wprawdzie minister Rheinbaben, udający na arenie parlamentarnej wielkiego znawcę prasy polskiej, w niedawnej debacie antypolskiej wspominał, cytując „Pracę," że pismo to wychodzi w „Krakowie," ale jak sądzimy, uczynił to zapewne umyślnie, aby nam nie robić reklamy i nie przysparzać czytelników, przyzwyczajonych do tego, że im coś godniejszem jest poparcia, im więcej zasługuje na uwagę, tem ostrzej napadają na to panowie ministrowie. W każdym razie postaramy się w przyszłym kwartale tak pisać, aby szanowny minister mógł często nam poświęcać wzmianki na trybunie parlamentarnej, a my z pewnością odpłacimy mu się wzajemnością i nie omieszkamy raz po raz i jego osobie poświęcać trochę uwagi, choćby nawet i w dalszym ciągu, jak dotychczas, czerpał swą informacyę o sprawach polskich ze starych roczników „Ostmarki." — —

Pan minister Rheinbaben w ostatniej debacie polskiej bardzo szczegółowo zajmował się naszym programem. Ponieważ jednak jego pogląd jest nieco mylny, więc w nadziei, iż i ten dzisiejszy numer dostanie się do jego rąk, w kilku słowach się streścimy. Naszym programem nie jest wcale — jak twierdził minister — wywołanie rewolucyi. My tylko dążymy do *wywołania takiego przełomu w zapatrywaniach naszych współobywateli, aby każdy Polak w zaborze pruskim, bez względu na to, czy pochodzi z Księstwa, Prus lub ze Śląska, rozumiał, że Prusacy są naturalnymi nieprzyjaciołmi naszymi, i że kroki tych nieprzyjaciół, zmierzające ku zagładzie naszej narodowości, należy paraliżować zapomocą* szerzenia świadomości narodowej, *zapomocą* wychowywania młodego pokolenia w przywiązywaniu do polskości, *zapomocą* popierania swoich na polu ekonomicznem, *zapomocą* solidarności na polu politycznem.

Pocóż nam rewolucyi, jeśli mamy tyle jeszcze prawie zupełnie niewyzyskanych środków obrony przed wami, środków konstytucyjnych?

Z ich to pomocą, nie schodząc z gruntu konstytucyi, możemy przecież naszą odrębnością narodową, której nie chcecie uznać, być kulą u nogi w waszej polityce zewnętrznej; możemy was wciąż zmuszać do pamiętania, jak to niebezpiecznie jest mieć o dwa marsze dzienne od Berlina trzy miliony ludności, której jest obojętnem, czy linia graniczna przechodzi pod Kaliszem, czy pod Kistrzynem. Wszak my mamy tyle środków konstytucyjnych, więc poco nam rewolucya? Przecież my i tak się nie damy wam strawić, a w zamian za waszą antypolską politykę możemy was nabawiać ciągłego bólu żołądka i rozstroju nerwów, który was wyprowadza z równowagi politycznej i nad krawędź przepaści zaprowadzić może?

Gdy niedawno odbywano rewizye u żołnierzy Polaków w garnizonie wrocławskim, pytano ich, czy to prawda, że Polacy chcą urządzić z pomocą Rosyi (!!) powstanie przeciw Prusom. Już z tego samego pytania widać, do jakiego oszołomienia, do jakiej kołowacizny i panicznego strachu, do jakiej drżączki my was doprowadzamy, nie wychodząc nawet z granic konstytucyi! Pocóż nam więcej? Wy się sami boicie i w tem każdem nowem rozporządzeniu antypolskiem znać nerwowy wasz przestrach, wasze obawy, waszą trwogę — — —

Państwo, które tak jak Prusy, obawiać się musi kilku milionów swoich własnych poddanych, które ich podejrzewa na każdym kroku — państwo takie nie jest pewne ani swej przyszłości, ani swej teraźniejszości.

Oto nasza odpowiedź na pruską politykę, wynarodowienia Polaków!

A jeśli nam wolno przy tak poważnych i doniosłych sprawach wspomnieć też słówkiem i o sobie, o naszem piśmie, to dokonywający się zwycięzko pomimo wszelkich trudności wzrost liczby czytelników „Pracy“ jest też dowodem, jak te zapatrywania, które głosimy oddawna, znajdują echo w naszem społeczeństwie! W bieżącym kwartale mieliśmy ze strony naszych wiernych przyjaciół dowody tak daleko idącej życzliwości, tak silnego poparcia, jakiego spodziewać się nie było można od ludzi, żywiących osobistą sympatyę, ale tylko od sojuszników politycznych, od wyznawców tego samego programu, służących tej samej idei. Setki były abonentów takich, którzy po pięciu i sześciu nowych czytelników nam werbowali — w imię wspólnej sprawy. I czyniąc obrachunek generalny naszych wiernych zwolenników, mieliśmy wdzięcznością przejęte serce, że tyle poparcia, tyle dzielnej, nie oglądającej się na przeszkody pracy, — tyle zapału szlachetnego stanęło pod naszym sztandarem.

Dziękujemy więc Wam szczerze, Wy wszyscy drodzy zwolennicy naszej „Pracy,“ którzyście pamiętali, jak ciężki był dla nas ten kwartał. W myśl rad i życzeń Waszych ulepszamy i rozszerzamy pismo nasze i ulepszać nie przestaniemy.

Powodzenie nasze opiera się na poparciu nam życzliwych; dopóki zaś to poparcie w tej mierze, co dotychczas towarzyszyć nam będzie — działalność nasza, nową wciąż znajdując podnietę, iść będzie naszym torem naprzód coraz silniejsze i większe zataczając kręgi.

„Praca“.

Odpowiedź ministrom.

Było to w dniu piętnastym i szesnastym stycznia 1901 roku, kiedy w pruskiej izbie sejmowej ministrowie Miquel, Studt i Rheinbaben zgodnie głosili wielkie niebezpieczeństwo, jakie grozi Prusom i Rzeszy Niemieckiej ze strony Polaków zamieszkałych we Wielkiem Księztwie Poznańskiem, trąbili na trwogę, aż w całych Niemczech trąby ich słychać i trwogę czuć było, a od ministeryalnego stołu spadł gęsty grad „bomb, kul i kartaczy“ — retorycznych na nasze polskie głowy.

Biedni ministrowie! — jakżeż oni przeklinać muszą dzisiaj pamięć poprzedników swych w urzędzie, doradzców owych królów pruskich, którzy sięgnęli po nie swoją własność, po nasze polskie dzielnice. Pewno, że im dzisiaj nasze polskie rogi „djablo w gardle stają“ i sprawiają ból dotkliwy. Niechże się pocieszą słowami wielkiego niemieckiego mędrca-poety: „Das ist der Fluch der bösen That.“ Takiem jest przekleństwo zbrodni!

Lecz w gruncie rzeczy, któżby wierzył istotnie w niebezpieczeństwo, jakiem zagrażać może potężnym dzisiaj i opancerzonym Niemcom i Prusom nasza biedna i rozbita — garstka Polaków osaczona ze wszech stron wrogami. Śmieszne po prostu mówić tutaj o jakiemś niebezpieczeństwie, niemożliwe rozsądnemu człowiekowi w nie uwierzyć, tem więcej potrzeba wprost złej woli, obłudy i bezczelności, żeby takiem urojonem niebezpieczeństwem tłomaczyć gwałtowne środki, jakich dzisiaj królewski rząd pruski dla tępienia nas używa.

My wobec całego arsenału środków germanizacyjnych mamy tylko jednę broń, ale ta nas nie zawiedzie: za nami słuszność i sprawiedliwość, jesteśmy panami we własnym odwiecznym domu i wyrugować się zeń nie damy! Nie my was, ale wy nas zagarnęli. Nie my do was, ale wy do nas przyszli i pod naszym dachem przyjmujecie gościnę. Komu tu niedobrze, niech się ztąd wynosi!

Z ministrów jeden powiedział między innemi, że Polacy nigdy wdzięcznymi nie byli królom pruskim za ich względy. Chcielibyśmy wiedzieć kiedy i jakiemi to względami królowie pruscy nas otaczali? Historya pruska uczy, że Fryderyk „Wielki“ ubiegał się o względy Polaków i kupował te względy za fałszywe talary; (fakt historycznie stwierdzony!) Lecz może minister miał na myśli manifest okupacyjny Fryderyka Wilhelma III, manifest, w którym nam zapewniano, że język nasz będzie szanowany, używany we wszystkich urzędach obok niemieckiego, że narodowości naszej

nie będzie się ubliżało. To wszystko nam obiecywali królowie pruscy po to, by w kilkadziesiąt lat później przez usta prezesa ministrów oświadczyć, że przyrzeczenia ich, przyrzeczenia królów pruskich nie są warte złamanego szeląga. Prawda, są jeszcze i inne łaski i dobrodziejstwa świadczone nam przez Prusaków. Na przykład fałszowane odezwy, drukowane w drukarniach państwowych, rozsyłane obywatelom poznańskim, a wzywające lud do powstania. Dalej więzienie naszych arcybiskupów, fundusz kolonizacyjny, więzienie kobiet uczących bezpłatnie po polsku biedne dzieci, udzielanie małoletnim dzieciom religii po niemiecku! Ot dobrodziejstwa, jakiemi nas darzą Prusacy.

Pan Miquel, pruski minister finansów, duchem świętym natchniony, spojrzał w przyszłość i oświadczył, że nadzieja Polaków o wolną przyszłość jest nadzieją „naiwną“ i nigdy się nie spełni.

Winszujemy panu Miquelowi daru proroczego, ale życzymy więcej spokoju, więcej rozwagi, a mniej „naiwnych“ oświadczeń. Miną czasy pana Miquela i innych pruskich ministrów finansów, ale może być pewien, że nasza polskość w Poznańskiem nie minie. Ponad ministeryalnym rozumem, graniczącym nieraz z naiwnością i ponad prawem siły, jest prawo Bożej sprawiedliwości, tej sprawiedliwości wieków, która narodami rządzi bez i mimo woli ministrów. Ta to wieków sprawiedliwość podtrzymuje naszą nadzieję, podsyca nasze siły i każe nam wierzyć, że „pomimo carskich gróźb“ na złość ministeryalnym orzeczeniom na naszej polskiej ziemi w prastarej Piastów dzielnicy na wiek wieków rozbrzmiewać będzie pieśń:

Jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy!

Ordon.

Rząd pruski,
a duchowieństwo polskie w Poznańskiem.

Coraz bardziej wzmagające się oznaki presyi rządowej na nasze duchowieństwo, czynią ze stosunku rządu pruskiego do naszego duchowieństwa sprawę pierwszorzędnej wagi. Ze względu na praktyczną doniosłość tej kwestyi poświęcimy jej poniżej kilka treściwych uwag.

Plan użycia obok szkoły, urzędów itd. i duchowieństwa jako narzędzia germanizacyi był jednym z wytycznych punktów bismarkowskiego programu germanizacyi i protestantyzacyi ziem polskich. Osadzenie Niemca na stolicy arcybiskupiej po erze kulturkampfu i więzieniu dzisiajszego kardynała Ledóchowskiego — dostatecznie wskazuje na to, jaką miała być droga, po której ku temu celowi rząd zamierzał kroczyć. Pierwsze lata panowania Wilhelma II przyniosły reakcyę przeciw polityce Bismarka i ta reakcya tej polityki zaznaczyła się osadzeniem na arcybiskupstwie Gnieźnieńsko-Poznańskiem obecnego Arcybiskupa, ks. Dra. Stablewskiego.

Po krótkiej przerwie, gdy polityka pruska nawróciła na dawne tory systemu bismarkowskiego, rząd pruski podjął znowu myśl użycia duchowieństwa za narzędzie germanizacyi. W sferze stosunków szkolnych od lat szeregu wre w Księztwie walka pomiędzy księżmi polskimi, a nauczycielami Prusakami, — walka o religijne wychowanie dzieci polskich. Znalazła ona najdrastyczniejszy wyraz w pamiętnych słowach ks. proboszcza Szadzińskiego, który odezwał się do dzieci, że „grzechem jest, jeśli dziecko polskie w obcym języku się modli.“

Rząd obroną księży polskich przeciw protestantyzacyi nie zrażony, szukał sposobu ujarzmienia ich i znalazł ten sposób mianowicie w sprawie katolików niemieckich.

Zła gwiazda świeciła nad Księztwem Poznańskiem wtedy, gdy obok osiedlanych przez rząd Niemców-protestantów w Księstwie, pierwszy Niemiec-katolik postawił stopę na ziemi prowincyi poznańskiej: dał on sobą rządowi wyborny sposób do usiłowań zaprzągnięcia duchowieństwa polskiego do taczki germanizacyjnej.

Korzystając otóż z tego, że w niektórych okolicach Księztwa osiedliła się pewna liczba katolików niemieckich (naturalnie stojąca w takim stosunku do liczby parafian polskich, jak np. liczba polskich wychodźców w Westfalii do Niemców), rząd sztucznymi sposobami rozniecił wśród nich ruch, mający na celu zaprowadzenie niemieckich kazań. Doszło do tego, że zamieszkała w parafii kilkunastotysięcznej polskiej setka Niemców katolików stawia władzy duchownej żądania niemieckich kazań przynajmniej co drugą niedzielę.

Za podszeptem organów rządowych zaczęto wnosić petycye, podpisywane przez takich „katolików,“ Niemców, którzy nigdy nie uczęszczali do kościoła i dopiero na znak dany z Berlina poczuli się nagle pobożnymi. Za temi petycyami o niemieckie kazania stał naturalnie rząd, przemawiała przyjęta zasada równouprawnienia narodowości w kościele i punktu wyjścia nie było.

W połowie parafii, które mają niemieckie kazania, zaprowadzono je w ciągu ostatnich lat 3—4-ech.

Zresztą te kazania nie byłyby same w sobie tak niebezpieczne, gdyby za niemi nie stało inne groźniejsze niebezpieczeństwo.

Przedsięwzięta bowiem przez rząd pruski akcya, zmierzająca do zaprowadzenia kazań niemieckich obok polskich ma cele nierównie dalsze i dla losów polskiego kościoła w Poznańskiem groźniejsze: dąży ona wprost do wytworzenia wśród katolicko-polskich parafii — ściśle odgraniczonych mniejszości katolicko-niemieckich, mających swe niemieckie nabożeństwa i dążących do stworzenia na razie obok polskich — i niemieckich probostw. Zamierzono sobie doprowadzić do pewnego rodzaju utrakwistycznego systemu duszpasterstwa, — do tego, aby obok polskiego proboszcza był proboszcz dla Niemców, obok kościoła dla katolików Polaków —

kościół dla katolików Niemców. Takie postawienie kwestyi otwiera naturalnie i dalsze perspektywy w kierunku powolnego kasowania polskich nabożeństw, a pozostawiania tylko niemieckich według znanej zasady: — „wszyscy, czy Niemcy, czy Polacy, jesteście katolikami, możecie się przeto modlić w katolickim kościele, choć się w nim po niemiecku kazania odbywają“.

Scharakteryzowany tu stosunek rządu do duchowieństwa polskiego w Poznańskiem, polegający na nacisku ze strony rządu, aby z księży zrobić posłuszne narzędzie germanizacyi, ujawnia się nietylko w nakreślonych powyżej granicach, w pozytywnej formie dążenia do kazań niemieckich i niemieckich parafii, — ale też i w formie negatywnej, mianowicie w postaci kładzenia przeszkód działalności duchowieństwa na polu regilijnem w tych razach, gdy ta działalność mogłaby wyjść na korzyść polskości.

Po ukończeniu kulturkampfu, rząd pruski zawarł z Watykanem konkordat, na mocy którego duchowieństwo ma pewne atrybucye w zakresie polityki szkolnej. Do tych atrybucyi w pierwszym rzędzie zaliczyć należy prawo t. zw. *missio canonica* t. j. prawo nauczania religii, które musi udzielić władza duchowna osobom świeckim, a dopiero wtedy im wolno nauczać w szkołach.

Zagwarantowaną układami z Watykanem ingerencyę tę władzy duchownej poznańskiej ignorował rząd, wydając bez porozumienia się z nią rozporządzenie, kasujące wykład religii w polskim języku. Widzimy tu jaskrawy przykład uszczuplenia praw władzy kościelnej jako takiej w wypadku, w którym chodziło o posunięcie germanizacyi naprzód.

„Zniesienie nauki religii po polsku ma nietylko znaczenie religijne, ale i narodowe; nietylko jest uszczupleniem praw religijnego wychowania, ale i środkiem germanizacyjnym. *Zagraża ono nietylko religii, ale i narodowości*, a nawet rzec można, że rozporządzenia te godzą duchem swym bardziej w narodowość niż w religię.“ Tak pisaliśmy poprzednio. Dziś tylko powtórzyć te słowa możemy.

Wobec miarodajnych dla wszystkich kroków rządu intencyi germanizacyjnych, stosunek rządu do duchowieństwa, jako władzy kościelnej, ignoruje w razie potrzeby jego charakter, jako korporacyi wyznaniowej, natomiast upatruje w niem jedynie czynnik polityczny.

Stosunek ten duchowieństwa do rządu, a z drugiej strony do społeczeństwa polskiego jest prawdziwym węzłem gordyjskim wewnętrznej polityki społeczeństwa polskiego w Poznańskiem. Władza duchowna utrudnioną ma sytuacyę wobec rządu, bo skojarzanie interesów narodowo-polskich z religijnemi wyzyskuje w swym duchu rząd pruski.

Tak było ze skasowaniem polskich wykładów religii. Na wszelkie reklamacye Arcybiskupa rząd odpowiadał, że tu nie chodzi o religijną, ale o narodową, o polityczną stronę kwestyi; i w istocie społeczeństwu polskiemu chodziło o narodową stronę niemniej jak o religijną, — ale władzy duchownej z urzędu przedewszystkiem religijna na sercu leżeć musiała.

Jeśli położenie Arcybiskupa wobec rządu jest trudne, to nierównie trudniejsze jest ono wobec społeczeństwa polskiego, które przyzwyczaiwszy się widzieć na stolicy św. Wojciecha nie jednego z pruskich biskupów, lecz prymasa Polski, żąda nieraz od niego podjęcia interwencyi u rządu w obronie społeczeństwa polskiego w kwestyach, w którychby samej władzy duchownej zdała się czyjaś interwencya.

Jeszcze trudniejszym do rozwiązania i zawilszym objawem jest to, że władza duchowna z musu nieraz ulegając politycznemu parciu rządu, natrafia na samowiedną krytykę społeczeństwa, nie chcącego, lub nie umiejącego odróżnić rzeczy świeckich od kościelnych, — polityki od religii.

Tak np. wiele uwag krytycznych wywołał u nas okólnik naszej najwyższej władzy duchownej do kapłanów, aby dnia 18 stycznia odprawiono solenne nabożeństwa *ex re* 200letniego istnienia Prus...

I księżom, i ludowi przykrość niemałą sprawiła ta wzmianka o pruskim jubileuszu; a wszystko dlatego, że nie dość rozróżniamy politykę — od religii.

Mnożą się obecnie oznaki, świadczące, że rząd pruski dążąc do germanizacyi Poznańskiego przez kościół, nietylko wyższą władzę duchowną zamierza ująć w swe sidła, ale że szuka stronników pomiędzy niższym klerem zapomocą znanych sposobów: poparcia i protekcyi wszelkiego rodzaju beneficyów, orderów i t. d.

Zdołał on już kilku księży karyerowiczów pozyskać dla swych zamiarów. Typowym przykładem takiego karyerowiczostwa jest osoba ks. Krzesińskiego.

Wogóle widzimy, że wszędzie mamy do czynienia z jednym i tym samym objawem germanizacyi przez kościół, dla losów narodowości polskiej w Prusach straszne kryjącym niebezpieczeństwo, bo germanizacyę warstw ludowych, o ile się nie nauczą rozróżniać swej narodowości od katolicyzmu. Uświadamianie ludu w tym kierunku jest jedynym postulatem praktycznym, który na podstawie rozpatrzenia tej kwestyi postawić obecnie można. —

Vester.

Walka policyi
z towarzystwami polskiemi w Niemczech.

Stosunek polskich kolonii w Niemczech do administracyjnych władz państwowych i policyi nie jest najlepszy. Był czas — w początkach tłumniejszego osiedlania się Polaków w Niemczech, przed laty jeszcze dziesięciu — gdy policya obchodziła się i z towarzystwami polskiemi

i z samymi Polakami ze wszelką względnością.

Obecnie, w miarę ciągłego podsycania walki narodowościowej przez hakatystów, stosunki te zmieniają się coraz to na gorsze.

Nie ulega przytem wątpliwości, że Polacy sami niejednokrotnie są przyczyną lokalnego pogorszenia stosunków — z policyą.

Tak np. denuncyowano dyrygenta berlińskiego towarzystwa śpiewackiego „Harmonia", który był urzędnikiem pruskim. Władza naturalnie kazała mu niezwłocznie z towarzystwa polskiego się usunąć. Tak np. w Dysseldorfie jeden z malkontentów przez swą denuncyacyę sprowadził rozporządzenie policyi, że na każdem posiedzeniu towarzystwa asystuje żandarm.

Ale i z własnego impulsu władze policyjne lokalne starają się utrudnić byt towarzystwom polskim przez nasyłanie im policyantów na każde posiedzenie, lub za pomocą innych sposobów. Dlatego też — o ile można się było przekonać — do wszystkich towarzystw polskich w całych Niemczech należy tylko dwóch urzędników państwowych.

Towarzystwa, nawiedzane obecnością policyantów na swych posiedzeniach, poważny ponoszą uszczerbek w swym rozwoju, trwożliwsze bowiem osobistości, obawiając się wmięszać w jakąś antypaństwową akcyę, na widok żandarma stronią od posiedzeń towarzystwa. Tak jest np. w Duisburgu, gdzie na posiedzenia towarzystwa św. Wojciecha przychodzi stale policyant, lub w Szczecinie, gdzie od czasu stałego pojawiania się policyanta, liczba członków przerażająco zmalała.

Niepotrzeba dodawać, że policya ma tysiączne sposoby, aby Polakom na obczyźnie utrudnić pracę w towarzystwach. W państwie, w którem minister dwukrotnie przedkładał już ciałom prawodawczym projekt, odbierający Polakom prawo używania języka polskiego na zebraniach towarzystw, — w państwie takiem policya naturalnie dokłada starań, aby własną inicyatywą i pomysłowością zastąpić lukę w systemie germanizacyjnym, wytworzoną przez odrzucenie projektu ministeryalnego przez sejm pruski.

Do najulubieńszych *tric'ów*, których policya pruska używa przeciw towarzystwom polskim jest zagrożenie właścicielom lokali restauracyjnych, że np. zostanie im odebrana koncesya, jeżeli wynajmą polskiemu towarzystwu lokal posiedzeń. Właściciele restauracyi naturalnie nie chcą wchodzić w zatargi z policyą, i nie chcą wynajmować polskim towarzystwom lokalów posiedzeń. Towarzystwo „Oświata" w Bochum, jedno z najpożyteczniejszych, z tego powodu jedynie musiało się rozwiązać, że nie mogło nigdzie dostać lokalu posiedzeń, bo policya się uwzięła i surowo zastrzegła sobie u restauratorów nieprzyjmowania tego towarzystwa.

Inny rodzaj *tric'ów* nieprawnie uprawianych przez policyę polega na tem, że na jakiejbądź błahej podstawie policya uznaje oficyalnie towarzystwo polskie za „polityczne". Na posiedzeniach politycznych towarzystw — podług praw niemieckich wykluczona jest obecność kobiet. Zakaz ten z całą surowością zaczyna policya stosować do polskiego towarzystwa i doprowadza do tego, że przeciętny członek towarzystwa, który dawniej przychodził z żoną i z dziećmi na posiedzenie, aby posłuchać odczytu lub wziąść udział w pogadance, — mając może jedynie w niedzielę możność wyjścia do miasta z rodziną, nie przychodzi już na posiedzenie towarzystwa, lecz z rodziną idzie do restauracyi. Taki los prześladuje towarzystwa polskie w kilku miejscowościach w Westfalii.

Szczególniejszą niechęcią pała policya zwłaszcza do wszelkich obchodów polskich, lub teatrów amatorskich. Najczęściej okazuje się ona bardzo bezwzględną w cenzurowaniu sztuczek do grania, a czasami troskliwość swą posuwa aż do granic komizmu. Komisarz policyi w Elberfeldzie, udzielając pozwolenia na odegranie jakiejś jednoaktówki, zastrzegł sobie i to na piśmie, że ani w tej sztuczce, ani w żywych obrazach nie będzie występować nikt „z kosami"! W żądaniu przekładów sztuczek teatralnych posuwa się policya aż do wymagania, aby tłomaczenia dokonał tłomacz przysięgły. Naturalnie pociąga to za sobą znaczne koszta.

Wogóle teatr jest w pojęciu policyi pruskiej najniebezpieczniejszą instytucyą antypaństwową. Przed paru laty artyści teatru poznańskiego przyjechać zamierzali do Berlina na szereg gościnnych występów, lecz policya berlińska temu przeszkodziła.

Obecnie w Westfalii policya surowo przestrzega, aby wszelkie komunikaty towarzystw polskich były pisane w języku niemieckim. W roku 1900 komunikowano prasie następujące dwa fakty:

Właścicielka restauracyi, wdowa Becker w Weitmar, u której odbywają się posiedzenia Tow. św. Aloizego w Weitmar, otrzymała od wójta następujące pismo: „Z powodu wyroku królewskiego najwyższego sądu administracyjnego, dotyczącego dopuszczania na zebraniach innej mowy, aniżeli niemieckiej, powoduję Panią niniejszem do starania się o to, abyś Pani w obrębie całego gościńca swego, nie dozwoliła na inne publiczne ogłoszenia, doniesienia itd. obcojęzycznych towarzystw, jak tylko w języku *niemieckim*.

„Przekroczenia będą jak najsurowiej karane za pomocą środków będących do dyspozycyi.

„Tak samo należy surowo na to zważać, ażeby w razie uroczystości, zebrań itd. wymienionych towarzystw, teksty pieśni, jakie miałyby być śpiewane, zostały w języku niemieckim poprzednio wcześnie doręczone. W przeciwnym razie nie tylko urządzający, lecz także gościnny będzie za to odpowiadał.

(podpis nieczytelny.)"

Restaurator zaś p. Göke w Grumme otrzymał od władzy policyjnej, co następuje: „Nakłada się niniejszem na Pana obowiązek, abyś Pan jako gospodarz polskiego Towarzystwa św. Stanisława, które u Pana odbywa swe zebrania, nie pozwolił mu na inne publiczne ogłoszenia, doniesienia, teksty pieśni itd. w gościńcu Pana, jak w języku niemieckim. Jako gospodarz towarzystwa odpowiada Pan osobiście za zastósowanie się do tego zarządzenia i musi się w danym razie spodziewać surowej kary. *Wójt:*

podp. Höltje."

Prawdziwem wirtuozostwem odznacza się policya, gdy chodzi o wynalezienie jakiegoś pretekstu do uniemożliwienia publicznych zebrań Polaków, Bywały wypadki, że w ostatniej chwili policya odmawiała pozwolenia na odbycie wiecu dlatego np., że drzwi w sali zebrań otwierają się na wewnątrz. Jest to w każdym razie nieco lepszy pomysł, niż ten, jakiego się chwytają śląskie władze policyjne, zabraniając mianowicie odbycia wieców z powodu — epidemii czerwonki u trzody chlewnej.

Jednakowoż i westfalska policya chwyta się czasami środków — rozpaczliwych. Dnia 12 grudnia 1900 miał się odbyć w Gelsenkirchen wiec polski. Wynajęto salę, przełamano wszelkie trudności, policya nie miała sposobu przeszkodzenia. A jednak przeszkodziła. W ostatniej chwili zawiadomiono komitet urzą-

dzający wiec, że pozwolenie policya cofa, a to z powodu, iż *niema drzwi ze sali do miejsca ustępowego.*

Naturalnie przy zawiązywaniu towarzystw policya robi wszelkie możliwe trudności, aby Polaków od tego odstręczyć. I często się jej udaje zastraszyć ludzi, nie znających form prawnych.

Ale nietylko nad towarzystwami rozciąga policya taką opiekę; i Polacy mieszkający w Niemczech wogóle narażeni są na rozmaite przykrości z jej strony, jeśli się otwarcie przyznają do swej narodowości.

Dr. K. Rakowski.

Nasza prasa.

Znać, że srogą pełniłem
twardą, bożą służbę. —
(Słowacki.)

I.

„Nasza prasa“ — te słowa zobaczywszy czytelnik pomyśli sobie: a, to ciekawym też, co on pod takim nagłówkiem pisać będzie. — Bo też, zaprawdę, temat by to był niewyczerpany; mógłbym np. pisać o tem, jakiemi są nasze pisma, a jakiemiby być powinny, o ile odpowiadają duchowym wymaganiom tych sfer, dla których są przeznaczone, o ile też duchowe ich wymagania starają się podnieść i uszlachetnić; mógłbym zastanawiać się również nad tem, dlaczego we Wielkiem Księstwie Poznańskiem nie ma dzisiaj pisma, któreby było istotnym Księstwa organem, to znaczy, któreby było odbiciem umysłowego i politycznego życia naszego, a zarazem łącznikiem duchowym, spajającym nas z innemi kawałami rozdartej Polski, nie mniej też przewodnikiem prądów ogólno-europejskich w nasz zakątek nad Wartą. Mógłbym dalej doświadczeniem z ostatnich czasów pouczony robić uwagi swe nad tem, że nie wystarcza być zgrabnym reżyserem pisma, by być w pełni jego redaktorem, to znaczy nadać pismu swemu duchowy kierunek a tem samem być czytelnikom swym drogoskazem i wpływać na wyrobienie sądu i opinii wśród nich. Mógłbym dalej bardzo smutnie zadumać się nad tem, dlaczego nasi redaktorzy w ustawicznej są ze sobą wojnie, dlaczego jeden z nich chciałby kosztem drugiego przysporzyć sobie koniecznie abonentów, dlaczego zaś nie idą wspólnie ręka w rękę zawodem jednym i jedną ostatecznie sprawą, której służą, do siebie zbliżeni? — Lecz dosyć, bo takich „mógłbym“ nie byłoby końca, a niepotrzebnie może poruszałbym tę lub ową drażliwą sprawę, zaradzić jej i tak nie mogąc. Więc lepiej z góry powiem, że ja o tem wszystkiem pisać nie będę; ja chcę tylko zastanowić się nad zasadniczą dla prasy naszej kwestyą, tj. nad tem, co jest ostateczną jej u nas racyą bytu; a więc jej kością pacierzową, jądrem jej u nas być powinno.

Całe niemal życie prywatne i publiczne nasze, wyczerpuje obok walki o byt, walka o zachowanie naszej narodowości. Pisaliśmy to już i powtarzali w nieskończoność; ale bo też prawdę tę ciągle głosić i powtarzać trzeba, tem bardziej, że ze wszech stron osaczeni jesteśmy niebezpieczeństwem. Walka ta staje się z dnia na dzień zaciętszą i gorętszą, im natarczywszemi i niebezpieczniejszemi są ataki, jakie rząd pruski wraz z niemieckimi poddanymi swymi na narodowość naszą wymierza. Do tej walki, z naszej strony obronnej, stanąć dzisiaj powinien każdy mąż, każdy obywatel, bez różnicy wieku, zawodu, wychowania, wykształcenia. U nas nie dosyć dzisiaj być dobrym szewcem, krawcem lub stolarzem, nie dosyć być dobrym lekarzem lub adwokatem, ale przedewszystkiem trzeba być na każdem stanowisku i w każdym zawodzie *dobrym Polakiem,* to znaczy, czuć całą swoją narodową odrębność w obec Niemca, mieć pełnią poczucia swoich praw i obowiązków narodowych i z tych praw swoich nie zrzekać się na przyszłość ani kruszyny!

Trudna to walka, tem trudniejsza, że cicha, pełna zaparcia się z dnia na dzień i bez chwilowych zwycięztw. W takiej to walce, więcej jeszcze niż w tej na polu bitwy, gdzie się krzyżują miecze i oręże, potrzebuje żołnierz słów zachęty, podniety, zagrzania. Ten obowiązek, jakoby wodzów wojennych przed bitwą, obowiązek podnoszenia duchów, dodawania im odwagi i otuchy, spoczywa w pierwszej linii na prasie. Ona jest, a przynajmniej być powinna twierdzą, z której wychodzą hasła do obrony przed wrogiem, na której zatykają się nasze sztandary wspólne. Jako taka najbardziej wysunięta placówka jest naturalnie prasa nasza najwięcej na sztych wroga narażoną; niebezpieczeństwo to i trudność swego położenia musi przyjąć, jeżeli chce uczciwie i godnie spełnić swój obowiązek narodowy, jeżeli chce odpowiedzieć tym wymaganiom i posłannictwu, jakie prasie narodowej nikt inny, tylko Adam Mickiewicz, nasz wódz duchowy, postawił, kiedy pisał: „Dzisiaj, skoro miecze schowane, walkę trzeba piórami prowadzić.“

Nie chciałbym ja już wspominać smutnej pamięci polityki ugodowej; wolałbym ja, żeby jak najprędzej ludzie o niej u nas zapomnieli, żeby z niej nic więcej nie zostało, jak tylko dźwięk pusty, a choćby złowrogie wspomnienie. Otóż niestety, tak dotąd nie jest; ta nieszczęsna ugodowość dotąd u nas pokutuje, co najgorsza, pokutuje właśnie jeszcze w prasie. Objawia się ona, mniejsza z tem w których pismach, w jakichś nieśmiałych uwagach wypowiadanych jakoby półgębkiem, w jakimś tonie, który czasem dźwięczy tylko między rządkami, w jakiejś łagodnej, proszącej apostrofie zwróconej do rządu. Po co to wszystko? Nikt z nas dzisiaj tak pisać nie potrafi, ażeby rząd zakołysać przekonaniem, że jesteśmy istotnie jego lojalnymi, wiernymi poddanymi; nikt z nas tak pisać nie zdolny, by zadowolić germanizacyjne zakusy hakatystów. Ktoby zaś tak pisał, tak pisać umiał, — Panie Boże, daj! niech mu ręka wprzódy uschnie — ten zaparłby się chyba przedtem swojej polskiej duszy i niedalekim byłby od zdrady, bo choćbyśmy dzisiaj cisi byli jak trawa, miękcy jak woda, potulni jak jagnięta, nie dosyć by jeszcze było uległości naszej wobec germanizatorów; tedy chcieliby, żebyśmy wogóle żyć i istnieć przestali. Więc pocóż ta połowiczność, skoro nic z niej dobrego nie wyniknie, przeciwnie, jedynie zło i szkoda narodowa zeń rozkrzewić się może.

Połowiczność taka, będąca maskowaniem się wobec wroga, ma w sobie coś z Walenrodyzmu. Nie jestem ja do tyla purytaninem w polityce, bym Walenrodyzm bezwzględnie miał potępiać; owszem, gdzie nie wymaga on nic więcej jak tylko maskowania się jednego osobnika wobec przemożnego wroga, gdzie ten osobnik jeden w piersi własnej zamyka tajemnicę i sam ze siebie robi ofiarę — tam czołem uderzam przed jego bohaterstwem. Gdzie jednakże Walenrodyzm ten dokonywuje się kosztem, więcej, szkodą drugich, tam go stanowczo muszę potępić. A tak właśnie dzieje się z Walenrodyzmem w prasie. Te uwagi ugodowe skierowane są niby do rządu, mają działać wśród sfer rządowych. Rzecz jasna, tam chybiają zupełnie celu; zbyt jasno poznają tam farbowane lisy; gazeta ta jednakże idzie także wśród lud, karmią się nią i duchem jej szerokie masy, które zamało mają krytycznego zmysłu, by odróżnić łupinę zewnętrzną od ziarna. Tam więc wśród szerokich mas, gdzie gazeta ma krzewić i krzepić zdrowe polskie życie, tam ugodowość jej truje je, przytłumia i zaciera poczucie odrębności narodowej, budzi z początku może nieświadomą życzliwość dla rządu pruskiego i jego dążeń.

Dlatego to Walenrodyzm tutaj jest wprost zgubnym i szkodliwym naszej sprawie narodowej. Pisma, które go uprawiają do dzisiaj, źle pojmują walkę, którą im trzeba piórami prowadzić.

Im to więc zawołać dzisiaj trzeba: złą idziecie drogą i wydać im hasło: Do odwrotu!

Poznańczyk.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rewizye u gimnazyastów polskich.

Organa śledcze pruskie poszukują czegoś z wytężeniem — w Zachodnich Prusach.

Nawet w seminaryum duchownem w Pelplinie przetrząśnięto klerykom szafy i rzeczy, nie znajdując naturalnie materyału świadczącego o wielkiej zbrodni stanu. Rezultat więc był mniej więcej ten sam co w Toruniu i w Chełmnie. Ale jakkolwiek śledztwo wykazuje, czego taić chyba nie potrzeba, iż młodzież w godzinach wolnych zajmuje się literaturą polską i zapoznaje z arcydziełami wielkich mistrzów polskich pióra, z pewnością nie gorszych od niemieckich pisarzów, — to jednak zasmucającem jest to, że od nauczycieli i dyrektorów częstokroć zależą losy ucznia w naprężonych dzisiaj stosunkach.

I tak dochodzą do uszu naszych wieści, iż w Brodnicy pewnego abituryenta wydalić mają z gimnazyum, a co najmniej cofnąć od egzaminu. Dlaczego? Dlatego, że się polskiej literatury i historyi uczył, zapoznawał z spuścizną, o której tylko znikczemniały Polak zapomnieć może? A cóżże Niemcom przyjdzie z tego, że pozyskają dla swej narodowości jednostki zwyrodniałe, znikczemniałe, upadłe moralnie. To ma być zdobyczą dla wielkiej niemczyzny?

W Chełmnie zainscenizowano rewizye ze szczególnie teatralnymi efektami.

Obława rozpoczęła się w chwili powrotu gimnazyastów z wakacyi. W ciągu przesłuchów powiadomił p. dyrektor Preuss gimnazyastów polskich, iż stwierdzionem zostało, że Polacy na dworcach w Grudziądzu, Kornatowie i Chełmży nawoływali się po polsku i witali się w sposób prowokujący, to znaczy niby oburzający (?) staropolskiem pozdrowieniem „Czołem“.

W dniu, kiedy się nauka rozpoczęła, obszedł dyrektor p. Preuss zaraz po godz. 8-mej rano cztery najwyższe klasy, prymę wyższą, prymę niższą, sekundę wyższą i sekundę niższą, i wypytywał się, czy wszyscy uczniowie Polacy są obecni. Nauki w tych czterech klasach przed południem wcale nie było, ale mimo to trzymano wszystkich uczniów aż do godz. $1^1/_2$ nie wypuszczając nikogo nawet na pauzę i nie pozwalając ani słowa do siebie przemówić.

Rozumie się, że nad młodzieżą zamkniętą w klasach był ścisły dozór, a wykonywali go — oczywiście w braku dozorców lub policyantów — nauczyciele gimnazyalni. Śledztwo toczyło się w prywatnym pokoju dyrektora — najprzód powołano tam dotąd wszystkich uczniów niemieckich i żydowskich. Tych podobno wypytywano się, czy nie wiedzą coś o jakiemś tajnem towarzystwie polskich gimnazyastów. O ile tam współuczniowie Niemcy i żydzi oskarżali polskich kolegów, trudno dociec, bo każdy z nich musiał dać słowo honoru, że nie przestrzeże kolegów Polaków o tem, co się święci.

Następnie wołano uczniów Polaków do owego pokoju dyrektora, gdzie był prokurator, sędzia śledczy i jakiś tajny policyant pruski. Pięciu czy sześciu wypytywano z osobna, a innych przywoływano po kilku razem. Śledztwo odbywało się w sposób następujący: Wchodzi uczeń Polak. Powiadają mu z góry: Jesteś Pan obwiniony (beschuldigt), że należysz do jakiegoś tajnego polskiego stowarzyszenia politycznego i wmawiają w niego wręcz, że już się wszystko wydało, więc ma się przyznać do winy.

Kilku gimnazyastów na pytania odpowiadało, tłómacząc się niepotrzebnie, że do spisku nie należą.

Podczas owych wysłuchów niejednemu z naszych młodych Polaków przetrząsano kieszenie. Wynik owego przedpołudniowego śledztwa w gimnazyum był dla p. prokuratora bardzo lichy, bo, rozumie się, nie odkrył żadnego spisku. Ciekawem jest, że uczniów Niemców katolików w owem śledztwie przesłuchiwano jako świadków i to pod przysięgą.

W czasie śledztwa w gimnazyum policyanci i żandarmi w czterech oddziałach przeszukiwali mieszkania gimnazyastów polskich. Do każdego oddziału przybrany był ślusarz z pękiem kluczy i wytrychów. Policya miała podobno też ze sobą miechy do pakowania w nie — może jakich bomb dynamitowych. Że zamki kuferków i koszów zostały w tym celu gwałtem otwierane, to jasne.

Rewizya robiła wrażenie, jakoby policya sadziła się na to, aby jak najwięcej obłożyć aresztem i do miecha zapakować. Ale bomb dynamitowych nie znaleziono naturalnie, więc brano rozmaite listy polskie, książki polskie, pieśni polskie, poodpisywane na kartach, wszelkie gazety polskie i to nawet takie, które już były używane do zawijania polskich bułek i polskiego chleba, a nawet kawałki czystego papieru, rozumie się także polskie i jeszcze inne rzeczy polskie, oczywiście niebezpieczne dla państwa pruskiego.

Po południu był dalszy ciąg śledztwa w sądzie, dokąd zawezwano 8 gimnazyastów, a pomiędzy nimi 5, którzy w gimnazyum nie dawali żadnej odpowiedzi. Tutaj powiedziano im już troszkę więcej, a mianowicie, że są oskarżeni o to, **jakoby w ciągu ostatnich 5 lat należeli do tajnego, wrogiego państwu pruskiemu stowarzyszenia polskiego.**

Sędzia śledczy p. Mangelsdorf stawiał tutaj te same pytania, co w gimnazyum, na które nasi Polaczkowie zupełnie niepotrzebnie dawali odpowiedzi. Jeden z „oskarzonych“ chciał przeczytać poprzednio protokół, który p. sędzia spisał i podpisać mu kazał — naturalnie ów gimnazyasta chciał wiedzieć, na co się ma podpisać, i miał do tego zupełne prawo -- a p. sędzia Mangelsdorf skrzyczał go za to.

Jedyną zbrodnią, którą śledztwo wykazać może jest naturalnie to, że nasi gimnazyaści czytali polskie książki i uczyli się literatury polskiej. Jak w analogicznych wypadkach, tak i w tym usiłowano z pewnego słabszego charakteru kolegi wydobyć materyał obciążający. I ten podobno oskarżył cały szereg uczniów polskich, że mają należeć do jakiegoś politycznego, rewolucyjnego, nihilistycznego, anarchistycznego i kto wie jakiego tam jeszcze ....istycznego Towarzystwa. Gdy go się koledzy pytali, czemu to uczynił, tłómaczył się, że gdyby nie był tego uczynił, toby, gdy zostanie księdzem nigdy nie dostał probostwa.

Podczas kiedy w domu ucznia żandarmi odbywają rewizyę, uczeń staje przed sędzią, który mu oświadcza, że *wstawi się za nim u ministra i naczelnego prezesa, jeżeli tenże przyzna się otwarcie do winy;* sędzia twierdzi, że uczeń nie ma się czego wypierać, bo wszystko wyszło już na jaw. Gdy zaś gimnazyasta stanowczo neguje przynależenie do tajnego towarzystwa, *sędzia cytuje paragrafy, podług których rzekomo może zmusić ucznia do zeznawania* ***pod przysięgą, i grozi*** *mu w razie opozycyi* ***24 godzinnym aresztem.***

Tak, panowie działacze, działajcie dalej! Obudzicie nawet w najspokojniejszym i najobojętniejszym uczniu niesłychaną wytrwałość i zapał do kształcenia się w naukach ojczystych! Że też to przykłady ze stosunków warszawskich owych „cywilizatorów“ naszych nie pouczyły.

Na obronę owych rewizyi u gimnazyastów, podaje hakatystyczny „Posener Tageblatt“ w artykule („Aus früherer Zeit — Nr. 13. d. 9. 1. 1901) wiadomość, że tajne związki pomiędzy młodzieżą szkolną gimnazyalną istniały około roku 1860 i to pod tytułem „Towarzystwo historyi i piśmiennictwa polskiego“ — a które za cel nie miały nauki, tylko uwolnienie uciśnionej Ojczyzny z dotychczasowych więzów, a wobec których policya pruska bardzo względnie się zachowywała — zatem dziś jest obowiązkiem policyi i władz troska o uchylenie tego niebezpieczeństwa.

Przemoc pruska dziś już nawet i nad młodocianymi umysłami chce panować. Nie dla was to panowanie, panowie Prusacy! *A. Z.*

Korespondencya z Galicyi.

P. t. *Ekonomiczny stan Galicyi* zestawił jeden z publicystów galicyjskich, p. Wilhelm Feldman, szereg cyfr i faktów, które oświetlają obecny stan Galicyi.

Z broszury tej wyjmujemy najważniejsze ustępy, opuszczając wyliczenia statystyczne, aby nie nużyć Czytelników kolumnami cyfr.

Zaprowadzenie w Austryi podatku osobisto-dochodcwego i ogłoszenie wyników rozkładu tego podatku na rok 1898, pozwoliło po raz pierwszy z przybliżoną dokładnością zmierzyć otchłań nędzy galicyjskiej i porównać ten stan ze stosunkami, panującemi w innych prowincyach monarchii. Ścisłość zupełna jest tutaj wykluczona, gdyż — mimo wszelkich obostrzeń — fasyonowanie podatków nie często jest zupełnie szczerem. Mimo to, można śmiało powiedzieć, że jeżeli ogół cyfr jest niedokładny, to chyba w kierunku przecenienia zamożności Galicyi.

Widzimy, że w Galicyi najliczniejszą jest klasa pierwsza, ludzi ledwie dostatnich, którzy normalnie muszą się z każdym groszem bardzo liczyć i większą część sił swoich poświęcać walce o kawałek chleba. Klasa ta nigdzie tak nie przeważa procentowo, jak w naszym kraju; nigdzie też nie wyciska tak silnie swego piętna na życiu publicznem; klasa to — małomieszczańska. Wszędzie znajduje ona przeciwwagę w bogatym i silnym elemencie handlowo-przemysłowym i w niezależnej inteligencyi; żywioły te są u nas bardzo słabo reprezentowane a nie pomylimy się, wyrażając przypuszczenie, iż głównego kontyngensu podatkowców drugiej klasy (dochody od 1.800 do 3.600 zł.) dostarcza biurokracya.

W 1867 liczyła Gal. lud. 6,607.816 i płaciła 18,109.013 złr.

W 1890 liczyła Gal. lud. 7.217.937 i płaciła 17,709.680 złr.

Zestawienie to jest w swojej wymowie wprost niesłychanem. Gdy pod względem zaludnienia kraj wzmógł się o 610.100 głów, zmalała jego siła konsumcyjna tak dalece, iż płaci podatków pośrednich o 1,400.000 złr. mniej. W czasie tym kraju nie nawiedziły żadne nadzwyczajne klęski elementarne, korzystał on z dobrodziejstwa pokoju i wzmożonej opieki wszystkich „miarodajnych sfer“, miał blizko tuzin ministrów rodaków, należał do większości rządzącej państwem, mimo to wykazuje tak niesłychany upadek, gdy cała Austrya w tym samym okresie podniosła swą siłę płacenia podatków pośrednich z 112 na 126¼ mil. złr. Czy jest w Europie jeszcze jakiś kraj, któryby mógł się poszczycić tak szczególnym dorobkiem?

Zniżenie się sumy dochodów spożywczych ma jednak głębsze, smutniejsze znaczenie, niż upadek wydajności podatków bezpośrednich. Świadczy ono bowiem o proletaryzacyi — proletaryatu, o zmniejszaniu się już nie ilości gotówki obywateli, lecz porcyi ich pokarmów i napojów. Ludność ta odżywiała się zawsze najgorzej, w ostatnich czasach miasto postępu — widzimy pogorszenie. I na czem ta ludność „oszczędza“, czego mniej konsumuje? Mięsa, soli, cukru. Dochód z podatku od mięsa, więc konsumcya tego artykułu, podniosła się w Austryi w ostatniem dwudziestoleciu o pięćdziesiąt kilka procent, to samo — z cukru i soli, w Galicyi zaś, gdzie ludność w tym okresie pomnożyła się o 1½ miliona głów — cyfry podatków z tych artykułów prawie wcale naprzód nie postąpiły. Ludność więc ubezsza odżywia się coraz nędzniej, tak jak „zamożniejsza“ coraz mniej zarabia — proces proletaryzacyi robi gwałtowne postępy na całej linii.

O upadku ekonomicznym świadczy także coraz słabszy udział Galicyi w dochodzie państwa z poczt i telegrafów. Ilość listów wysłanych z pewnego kraju, porównał znany ekonomista angielski (Goshen) z tętnem w organiźmie ludzkim. „Najmniejsza zmiana w ekonomicznem życiu, lepszy czy gorszy bieg interesów, mniej lub więcej ożywione stosunki handlowe i przemysłowe, wszystko to odbija się natychmiast i z nieomylną precyzyą na ruchu listowym. W Galicyi tętno to słabnie z roku na rok.

W całej Austryi wzrosła w tem trzechleciu (daty z lat następnych jeszcze nieopublikowane!) liczba przesyłek listowych o 66 milionów, w Galicyi spadła o 30 milionów.

Obraz ten nie byłby zupełnym, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na jeszcze jedną okoliczność. W ostatnich latach nietylko nie powiększył się dorobek majątku krajowego, ale nawet stare jego zasoby, zdewastowane, niekulturne, obdłużone, uległy jeszcze sile niszczycielskiej żywiołów przyrody w stopniu daleko wyższym, niż którakolwiek inna prowincya monarchii. Koło polskie zaniechało zupełnie starań o regulacyę rzek, nie traktuje poważnie idei przymusowego asekurowania budynków, a kraj nawiedzają rok rocznie klęski elementarne, które wyrządzają szkody na olbrzymie sumy.

W ciągu jednego dziesięciolecia 1880 do 1890 straciła Galicya skutkiem klęsk elementarnych (posucha, powodzie, zarazy na bydło, pożary etc.) kwotę: około 250 milionów guldenów, z których olbrzymia część przy gospodarce kulturnej byłaby dała się usunąć.

Szkody ogniowe w Galicyi w ostatnich latach nietylko nie zmniejszają się, lecz absolutnie rosną.

Czego więc w większości kraju nie zabierze obcy przemysłowiec, to zabierze bank, lichwiarz i egzekutor podatkowy, co ci zostawią — zabierze ogień lub woda. I tak powstaje bilans ekonomiczny kraju, którego wyraz społeczny zobaczymy dalej.

Podróżny, wyjechawszy z Galicyi na Ławoczne lub Oświęcim, znajdzie się od razu w innym zupełnie, nowym świecie. Straci z oczu smutny typ wsi galicyjskiej, spotka las kominów fabrycznych, straci z oczu typ naszego chłopa i żyda, którym z oczu świeci bieda, chciwość, a z całej postaci — brud i zaniedbanie, znajdzie się między Europejczykami. Kwestya socyalna jątrzy się bezsprzecznie i w społeczeństwach tamtejszych, ale przemysł wielki jest takim mieczem, który sam goi zadane przez się rany, dostarcza środków do prowadzenia racyonalnej polityki kulturnej i socyalnej, wyrabia coraz wyższe, społeczne i uspołeczniające formy własności i władania nią. I w Czechach jest liczny proletaryat, a nie słyszymy ztamtąd o rozruchach głodowych, o emigracyi rozpaczliwej, o ciemnocie, każącej zmartwychwstawać zmarłym arcyksiążętom, aby patronowali wyprawom na karczmy i mienie współobywateli!

I nietylko pod względem przemysłowym Czechy nas tak wyprzedzają! Chwalimy się, że „Galicya jest krajem rolniczym“, jeżeli większa własność ziemska ma może uprawnienie, to dla wyższości kultury ekonomicznej — tymczasem okazuje się, że ona gospodarować nie umie! Oto stosunek naszego rolnictwa do gospodarki najbliższych naszych sąsiadów: Czechy, Morawia i Śląsk mają razem prawie taki obszar, co Galicya, t. j. mają 78.000 kilometrów, a Galicya około 77.000 klm. U nas jest rolników przeszło 5,000.000, tam — 4,000.000. Gleba u nas może i lepsza. Mimo to Galicya produkuje zboża 16 milionów cent. metr., tamte kraje — 28 milionów. Kartofli i buraków produkujemy 40 milion. cent., tamte kraje — 93 mil. U nas rodzina (5 osób) ma przeciętnie 7½ morga i produkuje 56 centn. produktów, rodzina czeska ma 10 morgów i produkuje 166 centn. Dlatego też my nie możemy płacić podatku gruntowego więcej nad 5,400.000 zł., oni płacą 17¾ milion. My na tytoń wydajemy 117,000.000, oni

35,000.000. Na szkoły my 5,000.000, oni 21,000.000 itd. w nieskończoność!

A u nas? Mamy takie skarby w łonie ziemi, jak węgiel kamienny i brunatny, żelazo, ołów, cynk, siarkę, kainit, naftę, wosk ziemny, doskonałą glebę pod zboże, len, konopie, buraki cukrowe, mamy znaczne jeszcze lasy i potoki górskie, których siła tak świetnie może zastąpić węgiel kamienny, mamy taniego robotnika, którego inteligencyi i pracowitości — szczególnie Mazurów — obcy nachwalić się nie mogą, i przy tem wszystkiem „bez guzików byśmy chodzili“ — jak się ktoś wyraził, — gdybyśmy ich nie dostawali od obcych!

Ankieta rzeczoznawców, która obradowała we lwowskiej Izbie handlowej 20 marca 1899, doszła do optymistycznego przekonania, że Galicya mogłaby eksportować zagranicę takie artykuły, jak sukno, płótno ręczne, kożuchy, chustki, kosze, wyroby drzewne, papier, wódki słodzone, spirytus, skórki cielęce, obuwie, naftę i wosk ziemny, świece parafinowe, masło, jaja i wiele innych jeszcze surowych produktów — tymczasem faktem jest, że towarzystwo, założone pod hasłem zaopatrywania galic. zakładów naukowych w przybory szkolne wyrobu krajowego, musi je sprowadzać z Wiednia, Pesztu, Warszawy! Ba, faktem jest. że importować musimy nawet chleb codzienny, i mnóztwo sklepów i „Kółek rólniczych“ sprowadza wagonami chleb z Morawskiej Ostrawy, jako lepszy i tańszy od galicyjskiego!

Smutny to bilans. Galicya, podług niego, to najuboższy kraj Austryi. Czechy są zamożniejsze od Galicyi cztery razy, a Austrya Dolna dwanaście razy. Na stu ludzi w Galicyi jest zaledwie jeden nie należący do proletaryatu. Rdzeń klasy chłopskiej i mieszczańskiej ulega w szybkiem tempie proletaryzacyi. W ostatniem dziesięcioleciu zeszedł do rzędu nędzarzy co dziesiąty dawniej niezależny członek warstwy przemysłowej.

Skutkiem wzrastającej nędzy, spada w kraju konsumcya mięsa, soli, cukru, a rośnie namiętność do alkoholu i gry na loteryi. Chłop staje się wyrobnikiem na gruncie, który tylko nominalnie należy do niego i pracuje w rzeczywistości dla wierzycieli i egzekutora podatkowego. Większość ludności nie znajduje dla siebie zajęcia w handlu lub przemyśle, schodzi do rzędu nie robotników, lecz lumpenproletaryatu. Wobec predyspozycyi psychicznej tej warstwy, jest jej emigracya z kraju dla pozostałych — wentylem bezpieczeństwa.

Powyższe streszczenie broszury pana Feldmana nasuwa bardzo pesymistyczne wnioski co do dalszego rozwoju Galicyi. Jako jeden ze środków zaradczych przeciw dalszemu ubożeniu kraju z kilku stron stawianą jest zasada administracyjnego wyodrębnienia Galicyi tak np. jak wyodrębnione są Węgry w Austryi. Sprawie tej poświęcimy przy sposobności kilka zwięzłych uwag.

Galilejczyk.

* * *

Kraków, w styczniu.

(Wybory w Galicyi).

Hydra niemiecka usiłuje i w Austryi podnieść głowę. Niemcy choć w mniejszości, chcieliby rządzić Słowianami, ująć ster rządów, a później tyle zważać na konstytucye, co ich sojusznicy Prusacy. Narodowi czeskiemu, silnemu ekonomicznie i o wysokiej kulturze, usiłowali narzucić swój dźwięczny język niemiecki, a gdy ten naród energicznie upominał się o swe prawa w parlamencie, parlament rozwiązano. spodziewając się przy nowym wyborze osłabić przeciwników. Czy cel osiągnięto. zobaczymy niebawem, W Galicyi przynajmniej nie bardzo im się to udało. Oto przypatrzmy się wynikowi wyborów w Galicyi:

Z V kuryi ogólnej (15 mandatów) wybrano:

5 konserwatystów, 3 Stojałowczyków, 2 antysemitów, 1 liberalistę, 1 radykalistę, 1 Rusina, 1 socyalistę i jednego bezbarwnego.

Z IV kuryi wiejskiej (27 mandatów): 7 konserwatystów, 7 Rusinów, 4 chrześcijańskich demokratów, 3 ludowców, 2 antysemitów, 2 Stojałowczyków i 2 bezbarwnych.

Z III kuryi miejskiej (13 mandatów): 5 liberalistów, 2 chrześc. demokr., 2 konserwatystów, 2 żydów i 2 bezbarwnych.

Wprawdzie nie było jeszcze wyborów z izb handlowych (3 mandaty) i z większej własności (20 mandatów), lecz ich wynik da się z góry oznaczyć; wejdzie do parlamentu 3 żydów i 20 konserwatystów.

Razem liczy delegacya galicyjska 78 posłów: Z tego obecnie wybrano 34 konserwatystów, 10 chrześc. dem. (liczę tu też antysemitów) 8 Rusinów (4 radykalnych, 4 umiarkowanych), 6 liberalistów, 5 Stojałowczyków, 5 żydów, 5 bezbarwnych, 3 ludowców, 1 radykała i 1 socyalistę. Do Koła polskiego wstąpią konserwatyści, chrześc. demokraci, liberaliści, żydzi i bezbarwni czyli 60 posłów. Poza Kołem pozostanie 18 posłów, tj. 10 Polaków (8 włościan, radykał i socyalista) i 8 Rusinów.

Oto ogólny wynik! Socyaliści, ludowcy i ks. Stojałowski, którzy pomagali Niemcom, upadli. Socyaliści ledwie utrzymali się przy jednym mandacie: przewódzcy ludowców i ks. Stojałowski padli.

Konserwatyści w większości pragną trwać w sojuszu z Czechami, przestrzegając ściśle narodowych interesów, a nie mieć na ustach ciągłego „Ceterum censeo“, dobra państwowego (Austryi). Polacy więc, którzy pod „szanownym przewodnictwem“ p. Jaworskiego, pomagali Niemcom, teraz pójdą z Czechami, jeżeli nie wszyscy, to w znacznej większości. Wybory zatem w Galicyi chyba Niemcom nie pomogły. Zobaczymy, jak będzie przy wyborach gdzieindziej.

Zygmunt C.. Sobecki.

Z TYGODNIA.

Śmierć królowej Wiktoryi jest najdonioślejszym faktem z kroniki ubiegłego tygodnia. Jakkolwiek dawno przewidywana, wpłynąć ona może bardzo na sytuacyę polityczną. Osoba nowego króla angielskiego, który pod nazwiskiem Edwarda VII wstępuje na tron, już zaczyna zajmować żywo sfery polityczne. W ubiegły czwartek rano o dziewiątej odbyła się w stolicy W. Brytanii proklamacya jego na króla. Jako następca tronu, nie miał dotychczas książę Walii dość sposobności do zaznaczenia swych politycznych przekonań. Jedynie jego ekscentryczność w ubieraniu się, jego pasya do hazardownych gier w karty i do wyścigów są znane szerszemu ogółowi. Jak podają niemieckie gazety, nowy król nie jest wcale zwolennikiem Prus ani przymierza z Niemcami wogóle a natomiast sympatyzuje z Francyą.

Tak więc zawarty niedawno sojusz niemiecko-angielski już dziś byłby poważnie narażony na szwank. Nadmieniają przytem, że nowy król spekuluje na giełdzie i że mianowicie korzystne interesy robi na wojnie z Burami. Wobec tego trudno spodziewać się z jego strony jakiejkolwiek interwencyi. — Sędziwy Paweł Krüger, prezydent Burów, bawiący obecnie w Brukselii, przesłał podobno do Londynu kondolencyjny telegram z powodu śmierci Wiktoryi. Tymczasem wojna z Burami trwa w dalszym ciągu. Ze Standerton donoszą, że odbyło się tam zebranie wodzów burskich pod przewodnictwem De Weta. Zwolenników zawarcia pokoju przegłosowano i uchwalono wtargnąć do posiadłości angielskich, do Natalu. Położenie lorda Kitchenera jest wobec tego bardzo niemiłe, bo znalazł się on odcięty od komunikacyi z Anglią na terytoryum bur-

skiem. Podobno jakgdyby przez ironię sam De Wet dowiedziawszy się o śmierci królowej Wiktoryi, zawiadomił go o tem. — Wojna z Chinami trwa dalej. Na zbiorowej nocie mocarstw europejskich, wystosowanej do rządu chińskiego, widnieje już pieczęć władcy Państwa Niebieskiego. Dokumenty zostały już doręczone posłom. Telegram z Pekinu otrzymano w Nowym-Yorku d. 15. b. m. Według jego treści akt ten uroczysty odbył się w ten sposób, że ks. Czing udał się w towarzystwie starszego eunucha do „świętej dzielnicy miasta“ i na dokumentach, otrzymanych od posłów, położył pieczęć cesarską. Należy się więc spodziewać, że układy pokojowe zostaną doprowadzone do końca. Rosya już teraz zajmuje Mandżurją.

We Francyi zanosi się na nowy kulturkampf. Przodować w nim zamierzają socyaliści. Socyalistyczna bowiem grupa posłów wniosła do laski marszałkowskiej nowy projekt, który dąży wprost do konfiskaty dóbr klasztornych. Według tego nowego projektu § 13 ustawy ma mieć osnowę następującą:

„Dobra t. zw. „martwej ręki“, ruchomy i nieruchomy majątek kongregacyi duchownych, przechodzą na własność państwa, które je natychmiast obejmuje w posiadanie. Członkowie kongregacyi zatrzymują, jako swoją własność prywatną, przedmioty, służące do użytku prywatnego, jak: bieliznę i ubranie. Biblioteki, archiwa, obrazy i inne dzieła sztuki, po spisaniu inwentarza, zostaną wcielone do muzeum. W tym celu spis inwentarza należy posłać ministrowi oświaty. Wszystkie sprzedaże dóbr klasztornych, wszystkie hypoteczne obciążenia od 14 listopada 1900 r. należy unieważnić, dobra zaś zasekwestrować. Następnie należy rozpatrzeć wszystkie kontrakty najmu sporządzone przez klasztory. Sąd rozstrzygnie, czy te umowy nie są tylko po to zawarte, aby ukryć właściwych właścicieli. Zabrane dobra klasztorne stają się własnością narodu i służą za podstawę utworzenia kasy, zabezpieczającej starość robotnikom.“

Projekt ten niewątpliwie wznieci w całej Francyi zarzewie niezgody.

W przyszłych wyborach do parlamentu w okręgu pleszewskim, kandydatem Polaków będzie Dr. A. Chłapowski. Ogłasza on następujący program:

„1) Wybrany na posła należeć będę do Koła polskiego i tam pracować nad tem, aby Koło kierowało się tylko swą własną polityką, bez zależności od innych stronnictw, aby się nie oglądało na rząd, ani też w jakiejbądź formie nawracało do tak zwanej polityki ugodowej, chwilowo zarzuconej:

2) stać będę zawsze na straży interesów narodowych i religijnych t. j. Kościoła, rozgraniczając ściśle jedne interesa od drugich, — z uwzględnieniem tego, że rząd będzie chciał użyć całej siły Kościoła do celów germanizacyjnych, przed tem zaś wszelkiemi siłami bronić się należy;

3) dbać będę o to, ażeby na polu ekonomicznem, o ile to od prawodawstwa pruskiego należy, drobny przemysł i rolnictwo nie upadało pod ciężarem podatków szkolnych, gminnych, drożnych i t. d.;

4) jestem stanowczym przeciwnikiem wszelkich wyjątkowych praw obywatelskich;

5) jestem tego zdania, że praca posła nie kończy się na Berlinie; po za Berlinem, w kraju winien każdy poseł stykać się z wyborcami, celem wymiany poglądów politycznych.“

Wiec przedwyborczy powiatu zachodnio poznańskiego rozbili dnia 27-go z. m. w Poznaniu socyaliści. — Zagaił go o godzinie 3 i pół na wielkiej sali Bazarowej p. Szyfter i zaproponował na marszałka p. Glabisza z Konarzewa. Już przy wygłaszaniu porządku dziennego poczęły się wołania i krzyki z pośród nie należących do zachodniego powiatu socyalistów, którym głównie przywodził sekretarz ich, p. Kasprzak, uniemożliwiając tok obrad. Nawet spokojne przemówienie kandydata, p. mecenasa Chrzanowskiego, tej treści, żeby ci panowie, którzy coś mają przeciwko jego kandydaturze wstrzymali się aż do chwili, gdy się odbędzie wiec miasta Poznania, do którego należą, a chwilowo nie psuli obrad obywatelom powiatu zachodniego, nie wstrzymało krzyków i wrzasków, tak, iż w końcu przedstawiciel policyi, pan inspektor Portasiewicz, ogłosił wiec za rozwiązany.

Ze względu na możliwe takie same ekscesy przyszły wiec zachodnio-poznańskiego powiatu odbędzie się w Stęszewie.

Nowe Koło polskie sejmowe ukonstytuowało się już, wybierając na prezesa swego, w miejsce zmarłego ś. p. Mottego — Dra Henryka Szumana.

Wybór ten przyjmujemy ze szczerem zadowoleniem.

Dr. Henryk Szuman jest obecnie najstarszym z posłów naszych, mężem niezmiernie zasłużonym, który od długiego szeregu lat nieprzerwanie należał do grona naszych posłów. Aby dać miarę jego zasług, dość przytoczyć szczegół, że w r. 1848 (!), jako młody prawnik, już spełniał w Berlinie funkcye sekretarza polskiego gremium poselskiego, a *w powstaniu poznańskiem czynny brał udział jako dowódca t. zw. legii akademickiej.* Jest to jeden z tych charakterów, które nigdy nie wchodzą w pakta z warunkami życia i otoczenia, a dlatego zawsze pozostają w zgodzie same z sobą, i jeden z umysłów objektywnych, których zapatrywaniom rzeczywistość i czas nigdy kłamu zadać nie może. I dlatego też, dziś nowy prezes Koła obejmuje swą wysoką godność społeczną jako sędziwy Polak z tem samem przejęciem się sprawą, z tym samym zapałem patryotycznym, z jakim agitował w Berlinie w 1848 roku na rzecz polskiej sprawy jako młody człowiek.

Szanownemu i sędziwemu prezesowi Koła składamy w imieniu wszystkich naszych czytelników solenne powinszowania i życzenia, aby praca jego trwała jeszcze długie lata z pożytkiem dla Ojczyzny. *M. B.*

PRZEGLĄD PRASY.

Cały szereg pism polskich rozmaitej barwy politycznej wynurzył uczucia, które przejmowały społeczeństwo polskie wobec jubileuszu 200-letniego istnienia państwa pruskiego.

Przytaczamy głos poniższy „Kurjera Poznańskiego.“ Może on dla niejednego być swego rodzaju ciekawem świadectwem, jak bardzo zbliżają się do siebie pojęcia niegdyś bardzo różniących się programów politycznych — wobec niesłychanego ucisku hakaty. Oto co **„Kurjer Poznański“** pisze:

„Wśród huku salw armatnich i przy odgłosie dzwonów świątecznych obchodziła w dniu 18-ym z. m. monarchia pruska dwuwiekowy jubileusz swego istnienia.

„Obchodziła go szumnie, dumnie w przeświadczeniu swej siły, tego czynnika, którego znaczenie jako argumentu prawnego w kodeksie międzynarodowej moralności, ona pierwsza stwierdziła przez usta żelaznego księcia.

„Powiedział myśliciel niemiecki, że chcąc o człowieku wydać sąd sprawiedliwy, trzeba nie tylko krytycznie z zewnątrz na niego spoglądać, ale także subjektywnie w jego własne stawić się położenie, choćby na chwilę jego własnemi patrzeć na świat oczami.

„Stanowiskiem pruskiem w świecie był i jest kult powodzenia — siły.

„Siły pod wszelkiemi postaciami, karności wewnętrznej, posłuszeństwa, solidarności społecznej i państwowej, bezwzględnego panowania pierwiastku władzy, siły zachowawczej i ożywczej na wewnątrz a bezwzględnej, niszczącej, śmiertelnej dla wszystkiego, co się rozwojowi własnego organizmu sprzeciwia lub zdaje sprzeciwiać, siły, która celu swego musi dopiąć, która gdzie przeszkody nie złamie, tam zmienia postać, staje się przebiegłością, obchodzi bokiem lub podkopuje dołem, dzieli i rozdwaja, aż wreszcie, gdy przeszkoda osłabła, wraca do pierwotnej postaci, staje się znowu siłą bezwzględną, niszczy, druzgoce i na trupie nieprzyjaciela własne zakłada rządy.

„Na tem stanowisku winien na chwilę stanąć, kto chce należycie ocenić znaczenie dzisiejszej uroczystości dla Prus.

„Prusak każdy wychowany w kulcie tego Boga — siły, nie inaczej, jak z dumą dziś spogląda na dwuwiekowe dzieło, dziś w najwyższym rozkwicie świecące.

„Polakom, pod rządem pruskim żyjącym, nie brak na doświadczeniu. Wiedzą, że w pracy spokojnej, legalnej, w spełnieniu sumiennem obowiązków wobec państwa nie potrafi przeszkodzić im heca, prowokująca ich do kroków niepoważnych.

„Ale wiedzą też, że dopóki nie zmieni się prąd nienawistny, żądający ich zagłady, — sprawiedliwości i równego traktowania z niemieckimi współobywatelami — nie znajdą.“

Jak się zdaje, wszyscy Polacy bez różnicy zapatrywań zgodzić się zupełnie mogą na wywody powyższe W całym artykule jest jeden tylko ustęp, będący niejako reminiscencyą pierwotnych odmiennych programów uregulowania stosunku naszego do państwa pruskiego.

Ustęp ten brzmi nieco melancholijnie:

„Widzimy wszyscy i czujemy, że te właśnie czynniki polskie, tworząc olbrzymią większość w naszem społeczeństwie, które w legalnem spółżyciu z niemieckimi obywatelami państwa widzą zakres naszego działania, które pragną, by Polak nie zaparł się swej polskości, a zarazem oddał cesarzowi to, co cesarskiego, że te właśnie czynniki najbardziej może przez szowinizm niemiecki są znienawidzone.“

Jednem słowem Prusacy sami się starają najbardziej, aby wśród Polaków znikła różnica zapatrywań na politykę polsko—pruską, i aby wszyscy stanęli na stanowisku, że Prusy nie zapewniają nam nawet tego *minimum* praw obywatelskich, które byłoby potrzebne do zachowania naszej narodowości.

I zakordonowa prasa nasza jubileuszowi pruskiemu krytyczne poświęciła uwagi, które naturalnie bardzo niemile oddziaływają na nerwy ministrów pruskich.

Lwowski **„Dziennik Polski“** pisał d. 18 b. m.:

„...U stóp tego tryumfatorstwa w królewskiej koronie, leżą wynarodowione przez krzyżactwo resztki społeczeństwa zachodniej Słowiańszczyzny, a za rydwanem zwycięzcy kroczą mieszkańcy dzielnicy Rzeczypospolitej polskiej, tej samej, której ongi Albert ślubował wiarę i posłuch w swojem i następców swych imieniu — po wieczne czasy!

„Siła przed prawem. Na uroczysty tryumf takiego właśnie powstania i istnienia pospieszyli do Berlina i poseł onej „opiekunki w oczach Słowian“ Rosyi i reprezentanci wszystkich mocarstw europejskich, ażeby winszować i cieszyć się „pełnemi chwały“ dziejami korony pruskiej...

„Że ludu pruskiego od wieków już niema, bo go wytępił doszczętnie miecz krzyżacki, że państwo to niemiecko-protestanckie stoi na gruncie obcym, który nigdy nie był i nie jest niemieckim, że to jest święto szczęśliwie dokonanych zaborów na obcych narodach, — o tem wiedzą wszyscy, ale — siła przed prawem... Nastały czasy takie, iż nie sprawiedliwość dziejowa i etyka moralna, ale fakt dokonany decyduje o — tryumfie sprawy. Zresztą polityka a sprawiedliwość, to dwa pojęcia, które w dziejach ludzkości nie często się identyfikują.

„Prawie równocześnie z rocznicą pruską my święcimy rocznicę ostatniej walki polskiego narodu o wolność; a nasze święto jest, jak protest wobec narodów i wobec oga podniesiony przeciw tryumfom gwałtu i niesprawiedliwości ludzkiej. I jest pewien związek między temi rocznicami tryumfatora i ujarzmionego, — gdy na płynące z Berlina hasło *Vae victis*, ze wszech ziem polskich wstaje głos: „Nie zginęła!“

Wreszcie **„Petersb. Wied.“**, wydawane przez księcia Uchtomskiego i uchodzące za organ półurzędowy, zamieściły z okazyi jubileuszu korony pruskiej artykuł, w którym mieści się ostra krytyka polityki Prus. Gazety niemieckie zauważają, że prasa rosyjska od pewnego czasu przybiera nieprzychylną postawę wobec Niemców. Wyjątek stanowił dotychczas pod tym względem właśnie organ ks. Uchtomskiego, tem bardziej zatem podpada obecnie jego krytyka polityki pruskiej. Wzmiankowany dziennik rosyjski pisze między innemi:

„Zanim Prusy zostały królestwem, nie były one przedtem, ani też potem ludem, narodem, tylko państwem wojskowem. Nie można pominąć, że tylko temu bezwarunkowo wiernemu trzymaniu się tego dziejowego powołania zawdzięczają Prusy szybkie swoje podniesienie się i ostateczny tryumf, który je uczynił głową Niemiec. W tem leży ich siła i ich słabość. Coby się stało z Prus, gdyby im odjęto ich wojsko i ich silnie karną biurokracyą? Rozpadłyby się na swoje składowe części. Fryderyk II. i jego następca zabrali w 1772 i 1793 roku znaczną część Polski. Odtąd upłynęło sto lat, a zabrane Polakom dzielnice są zawsze polskie i pozostały wierne katolicyzmowi. Wszelkie usiłowania, by je zgermanizować, nie odniosły żadnego skutku. Bismarck, który wiele uczynił w tym celu, umierał z przekonaniem, że to zadanie jest niewykonalne. Dlaczego? Ponieważ, — powtarzamy to, — nie były nigdy narodem, tylko państwem Prusy.“

Co na to H. K. T.?

Kościół, a tem bardziej nasz kościół katolicki, trzyma się zasady, że religia stać powinna wysoko ponad sporami narodowościowemi. A jednak w ostatnim zwłaszcza szeregu lat coraz to bardziej mnożą się objawy, świadczące, że rządy rozmaite starają się wyzyskać wpływ kościoła na wiernych w kierunku politycznym. Niegodna to cywilizacyi broń — i słusznie też Kościół ją zasadniczo odpiera. Ale pod tym naciskiem rządów już tu i owdzie można zauważyć smutne objawy wynaradawiania przez Kościół. I to już nawet nietylko u nas, nietylko w Europie, ale nawet hen — za Oceanem.

Rodacy nasi w Ameryce walczą dziś z zupełnie tym samym objawem dążeń wynaradawiających, jaki my tu nazywamy germanizacyą przez Kościół. Oto co w tej mierze pisze, poczytne polskie pismo amerykańskie **„Kuryer Polski“**:

„Za ciężko zapracowany grosz pobudowaliśmy wspaniałe kościoły. Obok nich powstały z czasem wygodne szkoły, w których dziatwa nasza uczy się poznawać Boga, szanować rodziców i obok języka krajowego, uczy się także mowy ojczystej. Utrzymujemy kapłanów i nauczycieli polskich: kapłanów, ażeby w tych ukochanych kościołach naszych pocieszali serca nasze strapione słowem Bożem w ojczystym języku, nauczycieli i Siostry, ażeby dziatwę naszą wychowali w wierze ojców i znajomości dziejów ojczystych.

„Bogu niech będzie chwała, że tego wszystkiego dokonaliśmy. Bogu niech będą dzięki, że nam wygnańcom w tej ciężkiej pracy pobłogosławić raczył.

„Przez długie lata byliśmy pewni, że krocząc tą drogą twardej pracy, obowiązku i poświęcenia, zdołamy zachować młodsze pokolenie od wynarodowienia. Pokładaliśmy wielką nadzieję w kościołach naszych i szkołach parafialnych, uważając takowe nie tylko za twierdze wiary, ale i narodowości naszej. Dopóki w nich pielęgnowaną będzie mowa ojczysta, — mawialiśmy — nie zginiemy. Niestety! ku naszemu ciężkiemu strapieniu dowiadujemy się, że właśnie w tych dniach niektórzy biskupi amerykańscy do tychże kościołów, zasłaniając się troską o zbawienie dusz ich pieczy powierzonych, powoli próbują zaprowadzić język angielski. Dwaj już nawet wyraźnie rozporządzili, aby także w niemieckich, francuzkich, czeskich i polskich głoszone były często kazania angielskie.

„To też rozporządzenia powyższe trwogą i smutkiem napełniły serca całego społeczeństwa polskiego w Ameryce. Odczuliśmy wszyscy głęboko, że nam się krzywda dzieje podwójna; bo narodowość nasza jest tak ściśle połączona z wiarą, że gdy stracimy język, stracimy i wiarę; że gdy młodzież nasza zobojętnieje, tem samem zobojętnieje także dla wiary.

„W poczuciu tej ciężkiej krzywdy Zarząd Zjednoczenia na nadzwyczajnem zebraniu odbytem w sobotę, dnia 29 go grudnia, wspólnie z Przew. kapelanem ks. Eug. Sedlaczkiem i redaktorami „Gazety Katolickiej“ i „Narodu Polskiego“, postanowił z synowską uległością przeciw owym rozporządzeniom zanieść zażalenie do wyższych instancyi — do zastępcy Ojca św. Arcybiskupa Martinellego w Waszyngtonie. W tym celu wygotuje się w tych dniach odpowiedni memoryał do delegata Apostolskiego, zaopatrzony o ile możności w jak najliczniejsze podpisy, dla zebrania których wysłaną zostanie do każdej kolonii polskiej odpowiednia ilość formularzy. Kopie owego memoryału wręczone zostaną Najprzew. kard. Gibbons, wszystkim Arcybiskupom i Biskupom w Ameryce, Propagandzie i Ojcu świętemu.“

W najbliższym czasie ogłosimy w naszem piśmie dłuższy artykuł wykazujący niesłychane pod względem narodowym obchodzenie się niemieckich księży z naszymi wychodźcami. Jesteśmy zdania, że i im nie pozostaje nic innego, jak zebrawszy wszystkie nadużycia w jeden memoryał, podać go do odpowiedniej instancyi w Rzymie. Hierarchia kościoła katolickiego pozwala na to, aby każdy z wiernych mógł dojść do swego prawa. Nie wątpimy też, że Polacy w Ameryce tym sposobem dojdą do praw swoich.

W **„Wielkopolaninie“**, piśmie starannie redagowanem, a wskutek tego też cieszącem się niebywałą poczytnością wśród ludu i mieszczaństwa — znajdujemy następującą korespondencyą z Kostrzyna:

„O Bismarcku już nie wiedzą na pocz-

cie w Kostrzynie Karta z adresem dosłownym: „K. Nowacki, Poznań (Posen), Bismarka 4. została zwrócona z dopiskiem, że takiej ulicy nie masz w Poznaniu. Taka to wdzięczność niemiecka! Przed kilkunastu laty nazwano ulicę na cześć „żelaznego“ kanclerza ulicą Bismarcka, a dzisiaj właśnie rodacy i to nawet urzędnicy państwowi tej pamiątki po nim doszukać się nie mogą. — O ileż lepszą pamięć mają Polacy! — My Bismarckowi nie zapomnimy nigdy, że nas z całego serca nienawidził, nie zapomnimy mu, że księży naszych prześladował za wypełnianie najświętszych obowiązków, nie zapomnimy mu banicyi tysięcy nieszczęśliwych wygnanych za to, że są Polakami, nie zapomnimy krzywdy, jakiej doznają w szkole dzieci nasze z tej goryczy, która ich młode serca napełnia, a wreszcie nie zapomnimy mu hakatystów, tego ostatniego pozdrowienia, które nam przesłał starzec, stojący nad grobem! — Tak, Bismarck niezatartemi głoskami zapisał się w naszej pamięci, to też każde dziecko polskie zna imię „wielkiego Niemca,“ który najlepiej nas nauczył, jak kochać Ojczyznę, a nienawidzić wrogów! — Z tych to powodów ulicę Bismarcka lepiej znać będziemy, niż urzędnicy pocztowi w Kostrzynie.“

W tym samym numerze **„Wielkopolanin“** napomina swych Czytelników, by zwykłe listy adresowali tylko po polsku; — Przecież p. Podbielski sam tę myśl pismom polskim podsunął — więc korzystajmy też z tej uwagi...

M. B.

Z blizka i z daleka.

Z całej Polski.

Hakatyści we Lwowie. Konsul pruski uznał za odpowiednie i we Lwowie, w stolicy kraju polskiego, uroczyście obchodzić rocznicę cesarstwa niemieckiego, i w tym celu sprosił do siebie mnóstwo Polaków a nawet urządził muzykalne popisy, gdzie też role przypadły naszym panom i paniom!

Były osoby, które odmówiły zaproszeniu. Ale niestety te osoby należały do wyjątków. Inne a wśród nich, byli bardzo wybitni, na świeczniku stojący ludzie, nie uważali tego wcale za, najlżej mówiąc, za niewłaściwe zaproszenie przyjąć i w muzykalnych produkcyach brać udział.

My nic nie mamy przeciw osobie konsula pruskiego, podobno nawet bardzo sympatycznego Niemca.

Lecz nie możemy przecie tego z oczu tracić, iż wieczór taki był manifestacyą pruską, i że konsul występywał nie jako pan Spesshardt, ale jako reprezentant mocarstwa, którego każda rocznica jest zarazem naszych krzywd przypomnieniem.

A zwłaszcza w tej chwili, gdy ten pruski butny kolos wysila się na to, by ranić najdrażliwsze struny polskiego serca.

Czyż się więc godziło?

Czyż nie wypadało raczej odmową przybycia na ucztę najsilniej zadokumentować protest polskiej duszy?

Co pomyślą o nas nieprzyjaciele?

Czy nie poczną nas lekceważyć?

Czy nie powiedzą sobie, że *die Polen sind für Alles zu haben?*

Ugodowcy kujawscy. Czytamy w gazetach: „Ks. Laubitz i p. Poniński podpisani są pod zaproszeniem na ucztę pruską. — Podpisy te położone są pod zaproszeniem na ucztę na urodziny cesarskie. — Pod zaproszeniem na taką samą ucztę podpisany ks. „Sypniewsky“ z Janówca, a dziś nadesłano nam powiatowy dziennik strzeliński, w którym na tę samą ucztę podpisani są pp. Amrogowicz z Rzeszynka, Grabski ze Skotnik, Kwieciński ze Strzelna, Trzciński z Ostrowa.“

* * *

Dokuczanie towarzystwom polskim. Raciborski restaurator p. Szulc wypowiedział miejscowemu polsko-górnośląskiemu Towarzystwu lokal. Twierdził, że gdyby miał u siebie nadal Towarzystwo, natenczas zakazałby komendant miejscowy, podpułkownik baron Eberstein, zwiedzać lokal wojsku. Towarzystwo bowiem przebywało w wymienionym lokalu 10 lat. Przez całe te 10 lat, a nawet dawniej już przebywało tam także wojsko i nie zdarzyło się nigdy, ażeby było zaszło kiedykolwiek coś pomiędzy którym z członków a żołnierzem. Członkowie zachowywali się wzorowo.

Cenzura w Prusach. W redakcyi „Lecha“ w Gnieźnie odbyła się rewizya z rozporządzenia prokuratoryi. Skonfiskowano kilka manuskryptów, pomiędzy innemi manuskrypt powieści „Kosynierzy“, która wychodzi w odcinku „Lecha.“

Z tego powodu redakcya była zmuszona do przerwania druku powieści. Jest to rzecz niesłychana, aby komuś zabierano manuskrypty, zanim się ukażą z druku. A gdzież prawo prasowe? Gdzie konstytucya?

Prusacy dążą widocznie do urządzenia — na wzór Rosyi — cenzury prewencyjnej, któraby czytała manuskrypty przed ich wydrukowaniem!

* * *

Wybory w Poznaniu. Jak to było do przewidzenia, postawiony przez nas kandydat dla Poznania, p. mecenas B. Chrzanowski, został proklamowany kandydatem przez komitet wyborczy. — Panu Andrzejewskiemu, którego pewne sfery namawiały do kontrkandydatury, należy się szczera podzięka, że nie dał swej osoby nadużyć do wywołania rozłamu.

* * *

Zjazd okręgowy związku Towarzystw Przemysłowych. Na wielkiej sali hotelu Basta, przepełnionej po brzegi delegatami Towarzystw Przemysłowych okręgu inowrocławskiego, członkami miejscowych towarzystw, inteligencyą miejską, obywatelstwem z okolicy i dość licznem gronem pań, powitał prezes Towarzystwa Młodych Przemysłowców inowrocławskich p. Paryzek w serdecznych słowach przybyłych gości, Zarząd Związku, a z szczególniejszem i należnem uznaniem i przybyłe panie.

Prezes Zarządu Związku, p. mecenas Czypicki, dziękuje za gościnne przyjęcie, otwiera posiedzenie, zapraszając p. Ozdowskiego, kupca tutejszego do pióra. Odczytawszy porządek dzienny, przystępuje do trzeciego numeru tegoż t. j. do wygłoszenia rozprawy swej p. t. „O najbliższym rozwoju handlu i przemysłu polskiego.“

Potem nastąpił odczyt p. Władysława Wąsowicza, właściciela fabryki papierosów z Poznania „O przemyśle i handlu ludowym.“

* * *

Jubileusz korony pruskiej był uroczyście obchodzony naturalnie i po miastach polskich. Niestety iluminacya i wśród podszytych tchórzem obywateli polskich znalazła niejakie poparcie. Niektórzy panowie są tak bojaźliwi, że im się zdaje, iż będą oskarżeni o obrazę majestatu, jeśli nie zapalą łojówki w swem oknie. Tem więcej podnieść z uznaniem należy, że — jak donosi „Lech“ w Nrze 20 b. m. — w Mogilnie nie iluminowali ani dekorowali pp. Stark Józef i Fr., oraz p. Jarecki, bławatnik. *Popierajcie gorąco tych panów, rodacy!.*

Wybory w Galicyi. Ostatni ruch wyborczy do Rady państwa z Galicyi, bez względu na większe, lub mniejsze zmiany w składzie stronnictw polskich, przyniósł jedną wydatną korzyść, którą wśród danych stosunków naszego społeczeństwa w tej dzielnicy polskiej uważamy za największą.

Jest to mianowicie ogromne rozbudzenie się poczucia narodowego we wszystkich warstwach ludności.

Spowodował je atak frakcyi opozycyjnych na zasadę solidarności Koła polskiego w Wiedniu i reakcya, która ocknąwszy się przeciw temu atakowi, szukała zwycięzkiego wyjścia w identyfikowaniu pojęcia tej solidarności z narodową solidarnością i dzisiaj z tego stanowiska cofnąć się już nie może.

Większość Koła polskiego w Wiedniu stała zawsze silnie przy postulacie solidarności, ale ani słowem, ani tem mniej czynem nie stwierdzała narodowego tej solidarności charakteru. Pojmowano tam i traktowano tę solidarność, jako zasadę klubową i w tem znaczeniu wyzyskiwano ją na rzecz większości klubu dla celów taktycznych pewnej frakcyi. Dzisiaj, broniąc się wobec przeciwników dotychczasowej solidarności, dano jej hasło nawskroś narodowej organizacyi, a zatem takiej, jaką ona być zawsze powinna i na jaką zgodzić się musi każdy Polak, bez względu na stronnicze swe zapatrywanie.

* * *

Obsadzenie generał-gubernatorstwa w Warszawie. Donoszą do „Polit. Corr.“ z Warszawy, że nie rychło jeszcze nastąpi obsadzenie tej posady. Hrabia Woroncow Daszkow, ani też wymieniany przez niektóre dzienniki szef okręgu miejskiego w Odesie, jenerał Musin-Puszkin, nie chcą przyjąć tej posady, pierwszy z powodu nadwątlonego zdrowia, drugi z powodu podeszłego wieku.

* * *

Uroczystości w Cieszynie. Sląskie to miasto było miejscem niezwykłych uroczystości. Otwierano „Dom polski“, a powstanie takiej instytucyi będzie niewątpliwie ważnym czynnikiem w walce z napierającą nawałą niemczyzny.

Wewnątrz domu znalazły pomieszczenie wszystkie polskie stowarzyszenia i instytucye w Cieszynie się znajdujące.

Z estrady przemawiali: pastor Micheida i msgr. Swieży.

Przemówienia były bardzo gorące, przejęte miłością dla ludu polskiego, wzywające do prawdziwej nad nim pracy. W imieniu towarzystw, które znalazły pomieszczenie w domu polskim, przemawiał nauczyciel gimnazyalny, p. Kukucz, imieniem akademików p. Brzeski, w imieniu nauczycielstwa p. Moyer z Nowego Sącza, imieniem gości, wreszcie p. Konopiński, dziennikarz z Krakowa.

Wśród słuchaczy znajdowali się przeważnie włościanie z pod Cieszyna, którzy doskonale zrozumieli i odczuli wzniosłe hasła, rzucane przez mówców.

*

*Z za Oceanu.**)

Umysły naszej braci w Ameryce zaprzątnięte obecnie rozporządzeniem biskupów Eisa i Uessmera, chcących zaprowadzić język angielski do kościołów za polski grosz pobudowanych. Przeciwko temu rozporządzeniu rozpoczęła się ogólna akcya wielkich polskich organizacyi. W słowach pełnych powagi i uszanowania Polacy amerykańscy przypominają swoim pasterzom, że nie po to budowali i budują kościoły, aby w nich teraz obcy język się rozpościerał. Chcemy modlić się po polsku i słowa Bożego słuchać w ojczystym języku, oto nasze najgoretsze życzenie. — Trudno osądzić, że rozporządzenie to jest przypadkowe, czyli też początkiem nowych prądów w Ameryce, dotąd nie znanych. Czyż miałby się narodzić hakatyzm angielski?

Żywimy nadzieję, że bracia nasi z za Oceanu, którzy nieraz dali niezbity dowód szczerego przywiązania do wszystkiego co polskie—że i tym razem będą umieli zadokumentować swą odrębność narodową.

Oprócz tej niezmiernie ważnej sprawy interesuje nas też jeszcze blizka wystawa amerykańska w Buffalo.

W niektórych pismach codziennych jeszcze i teraz toczą się sprzeczki, co było korzystniej dla nas, czy wybór Mac Kinleya, czy Bryana. *Z.*

*) Odtąd będziemy bez przerwy w każdym numerze zamieszczali krótkie wzmianki o braciach naszych z za Oceanu, których, jak się zdaje, poczynają amerykanizować. — Panowie Amerykanie po zdobyciu Kuby zdradzają apetyt na pożarcie braci naszych.... Przyp. Red.

Głosy od Przyjaciół.

Czarnków.

Szanowna Redakcyo!

Byłem świadkiem gorszącego nadużycia. Oto jeden tu w okolicy właściciel ziemski, *Polak*, tak się zachował wobec pracujących u niego polskich robotników z Galicyi, że gdy przyszli do niego upominać się o swoje, wtedy on ich wygnał i przywołał pruskiego żandarma, a żandarm pruski ich płazował na jego podwórzu pałaszem, a on sam stojąc przed swym pałacem, z przyjemnością się temu przyglądał. Nie zmiękczył mu serca płacz tych biedaków, nie będących w stanie nawet wytłómaczyć się żandarmowi. Popakowano ich w drabiniaste wozy i odesłano do policyjnego aresztu, po trzech dniach odstawiono do granicy tych ludzi, co ich dziadowie może zdobywali armaty pod Racławicami i ratowali krwią honor naszej ojczyzny. Byli to ludzie z powiatu Rzeszowskiego w Galicyi.

Ja, wprawdzie nie obywatel ziemski, ale prosty rzemieślnik *oddaję tego pana pod sąd opinii publicznej, oskarżam go i żądam, aby się wytłómaczył publicznie z tego postępku! Zapozywam go przed sąd społeczeństwa polskiego!*

Z szacunkiem

X.

Zdaniem naszem w tę sprawę wdać się powinien *„Związek ziemian“*. Red. „Pracy“.

Gołub, (Prusy Zachodnie).

Czytając polskie gazety, szukałem nieraz, czy z naszych stron nie znajdę jakiej korespondencyi, o naszym Gołubskim starożytnym kościele, który był przed paru laty odnowionym, teraz zaś za staraniem naszego czcigodnego ks. dziekana i z ofiarności parafian, którzy na ten cel wzniosły swego grosza nie szczędzą, w krótkim czasie zostaną odnowione dwie kaplice, w stylu gotyckim, i ołtarze w tychże kaplicach, pięknie pozłocone. Prace malarskie i pozłotnicze powierzone zostały p. Władysławowi Durzyńskiemu, dekoratorowi kościołów z Poznania, który w tych stronach odnowił już kilka kościołów i przez swą rzetelną i gustowną pracę zjednał sobie wszechstronne zaufanie, dlatego go każdemu śmiało polecić możemy.

Jeden z parafian.

* * *

Drawsko.

Szanowna „Praco“.

Będąc od dwóch lat czytelnikiem „Pracy“ chciałbym też do niej słów parę napisać. Jestem młodym dopiero czeladnikiem i rozumiem z „Pracy“, jak ta hakata na nas młodych ludzi ostrzy zęby. W wojsku tego każdy z nas doznaje. Polaków nie zostawiają w pułkach poznańskich, lecz ich wywożą nad Ren, aby się zgermanizowali. Dlatego też dużo ich wraca zgermanizowanych od wojska, a na to sposobu niema, aby przeciwdziałać. Krewni i rodzina najbliższa niechaj czuwa nad tem i w listach zagrzewa ich do wytrwania w polskości! Redakcya niech ten list poprawi, bo przy dzisiajszej szkole pruskiej to trudno lepiej pisać. Pozdrawiam wszystkich czytelników. *B.*

* * *

Bochum.

Szanowna Redakcyo!

Istniejący w Bochum „Związek Polaków w Niemczech“ jest instytucyą bardzo pożyteczną i potrzebną. Obecnie bardziej jeszcze niż poprzednio całe swe siły używa w kierunku urządzania wieców polskich w rozmaitych stronach Westfalii. Na wiecach tych występują mówcy z rozmaitych towarzystw, a tak tworzy się pewna niezaprzeczona spójnia pomiędzy rozrzuconymi po całej przestrzeni Westfalii Polakami. Na wiecach słyszą Polacy zachętę do oświaty, wskazówki dotyczące zakładania towarzystw, uzyskania książek itd. To też z całej Westfalii zjeżdżają się Polacy w wielkiej liczbie na wiece, urządzane staraniem Związku Polaków. „Idziemy na wiec jak na nabożeństwa polskie“ — pisze jeden z tamtejszych korespondentów, chwaląc działalność Związku.

Ostatni numer „Pracy“ ogromnie się podobał Polakom w Westfalii, którzy poznali, jak szan. Redakcya o nich dba i pamięta. Szkoda tylko, że jedno tutajsze towarzystwo nie chce do szan. Redakcyi przesłać formularza. Mówił mi przewodniczący, że nie wyszle. Widocznie gdyby miał napisać prawdę, toby musiał napisać, że to towarzystwo przez 4 lata swego istnienia nic nie zdziałało i niczem się nie zasłużyło. Takich towarzystw pewnie i więcej będzie, co się będą wstydziły wysłać formularz, bo z odpowiedzi widać by było całą nieudolność. Ani to żadnych gazet nie czytają, ani książek nie mają.

Na tem kończę, obszerniejszy list wkrótce napiszę.

Z uszanowaniem

Ks.

* * *

Hanower.

Kochana „Praco“!

W Hanowerze (mieście) przebywa niewielu Polaków.

Istniejące tu towarzystwo św. Kazimierza ma charakter nawpół religijny, przekształci się jednak zapewne niebawem w szczerze narodowy, dzięki germanizacyjnym zapędom miejscowych księży niemieckich. Ks. Schreiber, proboszcz w kościele św. Klemensa, mimo, że przed dziesięciu laty sam poświęcił sztandar towarzystwa (ze św. Kazimierzem królewiczem) zabronił sztandarowi wstępu do kościoła na uroczystym obchodzie 10-cioletniej rocznicy założenia towarzystwa. Germanizują mu się Polacy za wolno.

Opieki duchownej wystarczającej niema. Księdza polskiego sprowadzają Polacy dwa razy do roku — a połączone to jest z wielkiemi trudnościami.

Łączę wyrazy poważania

Maciej N.

* * *

Langendreer.

Szanowna „Praco“!

Tutaj przebywa bardzo dużo Polaków. Samych górników Polaków oblicza urząd górniczy na 545. Ogółem Langendreer i Werne liczą ze 2 tysiące Polaków. Są to jednakowoż ludzie bardzo zniemczeni i trudno do nich trafić z gazetą lub książką.

Istnieje tu wprawdzie towarzystwo polskie „Jedność“ ze znaczną liczbą członków (jest ich bowiem 290), ale niewiele się przyczynia do utrzymania narodowości, a nawet w celu zaznaczenia swej lojalności wobec Prusaków, urządza uroczystości na cesarskie imieniny, na święto Sedana i t. d., co razi nawet prostych ludzi z Księstwa.

W pobliżu Langendreer znajduje się miejscowość też zamieszkała przez Polaków — Salzbach. Osobnego towarzystwa niema.

Białasik.

* * *

Essen, w Westfalii.

Szanowna Redakcyo!

Posłuszny Waszemu wezwaniu i chcąc się przyczynić do pracy Dra Rakowskiego o „wychodźtwie polskiem w Niemczech“ daję poniżej pobieżny zarys stosunków w Essen i okolicy.

Essen należy do okręgów górniczych, w których najliczniej zatrudnieni są Polacy i to oczywiście znać na liczbie osiadłych w Essen polskich rodzin. Prawie we wszystkich szybach kopalnianych w okręgu esseńskim, a przedewszystkiem w szybach Prosper I i Prosper II, Zollverein, Fryderyk Ernest i Ludwik, liczba Polaków górników większą jest od liczby Niemców.

W samem Essen mieszka 527 górników, co z rodzinami ich wynosi około półtora tysiąca głów. Prawie drugie tyle można liczyć na zatrudnionych w innych gałęziach przemysłu robotników

i ich rodziny, oraz kupców i rzemieślników polskich, których tu jest kilkunastu.

Ludność polska w Essen wynosi więc do trzech tysięcy głów.

W Essen istnieją trzy towarzystwa polskie, liczące razem przeszło 300 członków. Żyją ze sobą bardzo zgodnie i mają dość zasobne biblioteczki. Gazet trzymają dosyć. Najstarszem jest Towarzystwo „Jedność“ pod opieką św. Stanisława Biskupa, założone w r. 1890 i Towarzystwo św. Józefa powstałe w r. 1896. Najmłodszem zaś jest Towarzystwo śpiewackie „*Dzwon*“, założone w r. 1900, bardzo ruchliwe i pożyteczne. W roku 1900 urządziło ono piękny zjazd Kółek i towarzystw śpiewackich polskich z Westfalii. Na zjeździe stanęło 10 towarzystw do popisu.

W najbliższej okolicy Essen, prawie w podmiejskich koloniach i osadach mieszka bardzo dużo Polaków. Są to osady następujące: Bredeney, Bergerhausen, Hessnigen, Frillendorf, Vogelheim, Carnap, Eerschede, Bochod i kilka mniejszych.

Ogółem mieszka tam podług wykazów górniczych do 3 tysięcy górników Polaków, czyli przynajmniej siedem i pół tysiąca Polaków wogóle, jeśli ich liczyć z rodzinami.

Pozdrawiam Szanowną „Pracę“ i powodzenia życzę. *K.*



Wiktorya, królowa angielska, ur. 24. 5. 1819. umarła 22. 1. 1901.

Sześćdziesiąt trzy lat na tronie.

Dnia 22-go z. m. w zamku Osborne na wyspie Wight zmarła królowa angielska Wiktorya, w 82-gim roku życia, a 63-cim panowania. Opatrzność, utrzymując ją tak długo przy życiu i na stanowisku przodowniczem państwa, dała jej zaznać słodkich owoców powodzenia, lecz też nie szczędziła gorzkich rozczarowań i zawodów; te ostatnie schyłek życia monarchini zatruły i przyspieszyły zgon, a jak niektórzy utrzymują, stały się bezpośrednim jego powodem.

W chwili przyjścia na świat królowej, spodziewano się śmierci Jerzego III-go. Panował on lat 60, lecz ponieważ oddawna cierpiał umysłowo, przeto regencyę za niego sprawował syn, ks. Walii, ojciec jedynej córki, ks. Karoliny. Karolina wyszła w r. 1819 za ks. Leopolda, trzeciego syna ks. sasko-koburskiego, że zaś zmarła w rok potem bezdzietnie, tron zatem angielski nie posiadał bezpośredniego spadkobiercy. Z braci ks. regenta kilku było żonatych.



Edward VII, król angielski, ur. 1841 r.

Z tych ks. Kent zaślubił Wiktoryę Maryę Ludwikę, córkę Franciszka ks. sasko-koburskiego—Saalfeld, siostrę ks. Leopolda, wdowę po Karolu Ludwiku ks. leiningeńskim. Małżeństwo to żyło z początku zagranicą; powrócili do Anglii dopiero wtedy, kiedy pierwsze dziecię miało przyjść na świat, pragnęli bowiem, aby ujrzało światło dzienne na ziemi angielskiej.

Tem pierwszem dziecięciem była późniejsza królowa Wiktorya.

Dziecię przyszło na świat w zamku Kensington, 24 go maja 1819 r.; dano mu imię Aleksandry Wiktoryi, na cześć ojca chrzestnego, cesarza Aleksandra, i matki. Z biegiem czasu utrzymało się



Aleksandra, księżniczka duńska, królowa ang.

w użyciu tylko imię drugie. Ks. Kent, po urodzeniu się córki, zamieszkał w Claremont, niegdyś rezydencyi ks. Karoliny, gdzie też niebawem, w roku 1820 umarł. Wówczas ks. Kent zamieszkała stale w zamku Kensigton. W pięć lat potem, parlament przyznał jej, jako matce domniemanej dziedziczki tronu, znacznie wyższą listę cywilną.

Młoda księżniczka odebrała wychowanie bardzo staranne. Będąc żywego, nieco despotycznego usposobienia, często wprowadzała w kłopot nauczycieli. Razu pewnego mistrz muzyki ośmielił się zwrócić jej uwagę, że w muzyce nie ma specyalnych przywilejów nawet dla osób ukoronowanych. Dwunastoletnia księżniczka spojrzała na niego przenikliwie, zamknęła fortepian na klucz i na wszelkie prośby prowadzenia lekcyi w dalszym ciągu, odpowiadała:

— Otóż nie. Przywilejem moim jest nie uczyć się muzyki, kiedy mi się nie podoba.

Kiedy Wilhelm IV objął tron w dniu 26-go czerwca 1830 r., parlament wydał bil, dotyczący regencyi. Postanowiono mianowicie, że królowa Adelaida będzie regentką, jeżeli król będzie miał dzieci; w przeciwnym razie regentką i opiekunką główną ks. Wiktoryi miała być ks. Kent. W r. 1832 młoda księżniczka zwiedziła Anglię, a w r. 1837 uznano ją za pełnoletnią. Dnia 20-go czerwca t. r. umarł Wilhelm IV, ze sztandarem Wellingtona na piersiach, który kazał sobie przynieść do łoża, z powodu rocznicy

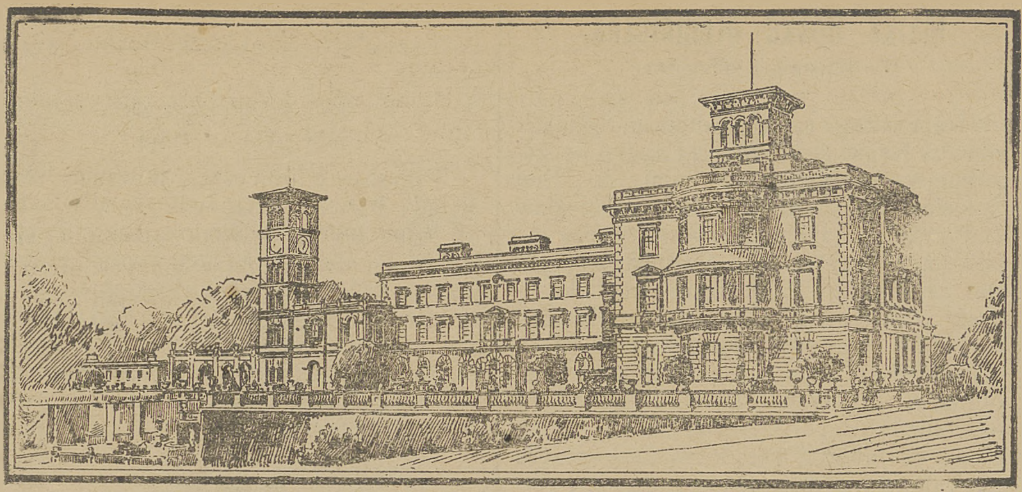


Książę Jork'u, następca tronu angielskiego, ur. 1865 r.

bitwy pod Waterloo. Arcybiskup Cantenbury i wielki szambelan dworu natychmiast popędzili karetą pocztową do Kensington. Była godzina 5-ta z rana, w pałacu kensingtońskim wszyscy jeszcze spali, dostojnicy przeto długo musieli się dobijać, zanim ich wpuszczono. Służba kobieca, nienawykła do przyjmowania posłów, wprowadziła ich do sali na parterze i — zapomniała o nich. Zniecierpliwiony arcybiskup, szarpnąwszy sznur dzwonka, zażądał, żeby go niezwłocznie przedstawion księżniczce Wiktoryi.

— Ależ księżniczka śpi, jak anioł — odpowiedziano mu — nie godzi się ją budzić ze snu tak smacznego.

Dostojnicy ponowili żądania bardziej natarczywie — to przełamało wahania służby. Niebawem księżniczka weszła do sali w białym szlafroczku, pantofe lkach



Pałac w Osborne, miejsce śmierci królowej angielskiej.

z włosami rozpuszczonemi, a arcybiskup odezwał się z głębokim ukłonem:

— Witam królowę Anglii... Niech cię Bóg ma w swojej opiece, najjaśniejsza pani!

Wiktorya miała wtedy lat ośmnaście.

Koronacya odbyła się wielce uroczyście 28 czerwca 1838 r. Wkrótce potem, 10 lutego 1840 r., zaślubiła kuzyna swego, Alberta, ks. kobursko-gotajskiego, lecz małżeństwo to nie wywarło bezpośrednio żadnego wpływu na stosunki polityczne, gdyż książę-małżonek był zupełnie usunięty od uczestniczenia w rządach, które królowa sprawowała sama, stosując się ściśle do wymagań konstytucyjnych. Zasadom tym do zgonu pozostała wierną niewzruszenie.

Królowa Wiktorya, licząc się zawsze taktownie i lojalnie z usposobieniem narodu, a równocześnie strzegąc pilnie, z godnością wielką, praw majestatu królewskiego, przeprowadziła państwo szczęśliwie przez szereg zawiłych reform polityczno-socyalnych, a także przez szereg wojen większych. Z początku przypisywano jej sympatye whigowskie i spodziewano się oddziaływania w tym kierunku; lecz królowa, jeżeli nawet żywiła takie lub inne sympatye własne, to zawsze umiała je podporządkować woli większości narodu. Historya zapisze na jej korzyść, że w czasie jej panowiania ustały walki między rządami gabinetowemi a parlamentarnemi; że ministerya zmieniały się bez żadnej przeszkody, według każdorazowego wyniku wyborów, bez żadnego ze strony monarchini na tę lub ową stronę nacisku.

Z chwilą objęcia przez królowę Wiktoryę tronu, Anglia posiadała trochę więcej niż 3 miliony mil kwadratowych; obecnie posiada z górą 8 milionów. Australia, licząca ongi zaledwie kilkaset osad; obecnie składa się z prowincyi kwitnących, posiada stolicę, rywalizującą z najpiękniejszemi miastami w Europie. Za kanclerstwa Beaconsfielda, w r. 1876 królowa Wiktorya przyjęła tytuł cesarzowej Indyi. Za jej rządów powstały w Azyi, Afryce i Ameryce z dawnej krwi angielskiej niejako nowe narody, dumne ze swej starej Anglii. W samej Anglii w roku 1837 było zaledwie kilka kilometrów dróg żelaznych; obecnie jest około 40,000 kilometrów dla ludności, która z 25 milionów wzrosła do milionów 40.

Królowa Wiktorya, w czasie swego panowania, widziała zmiany na wszystkich tronach Europy; widziała, jak znikały państwa dawne, a powstały nowe. Z wyjątkiem jednego, wszyscy monarchowie europejscy są młodsi od niej; widziała ich wstępujących na trony zajmowane obecnie. Przy niej pracowali pierwsi ministrowie, zaczynając od Roberta Peela, lorda Johna Russela, lorda Aberdeena, aż do obecnego premiera.

Równie jak w polityce, była królowa Wiktorya zawsze wzorową w życiu prywatnem i rodzinnem; z dumą mogła powiedzieć, że służy za przykład poddanym swoim. Dzięki jej i księciu Walii, w obyczajach angielskich nastąpiła zmiana, zwłaszcza co do pijaństwa, które było tak rozpowszechnione w wyższych sferach. Do przebrzmiałych tradycyi należy zwyczaj zawiadamiania sekretarzy swoich:

— Mój panie, jem dziś obiad na mieście, więc jutro... nie będę w domu.

Pojedynki straciły dawną powagę. Nadużycia, jakich się dopuszczono w tym zakresie, sprawiły, że z górą od lat 40-tu słychać o nich bardzo mało.

Nawet w armii obecnie nie porywają za broń dla uregulowania rachunków honorowych. Sztuka boksowania, tak rdzennie angielska, podupadła, przeniosła się do Ameryki. W początkach panowania królowej Wiktoryi, żaden człowiek dobrze wychowany nie odważyłby się palić na ulicy, tylko oficerowie kawaleryi nosili wąsy, a lordowie udawali się do parlamentu w strojach galowych, ze wstęgami orderów, deputowani zaś w trzewikach i w pończochach; obecnie szlachetni lordowie i członkowie izb gmin jeżdżą do parlamentu na bicyklu w zwyczajnych surdutach. Biskupi, zasiadający w izbie wyższej, używają i teraz szat duchownych, ale odrzucili peruki, ongi noszone.

Wspomnieliśmy, iż życie królowej Wiktoryi nie płynęło po różach. Tak było. Pierwsze chmury dotknęły ją w r. 1861 — w roku tym zmarła jej matka, ks. Kent, i małżonek, ks. Albert. Cały naród dzielił wówczas szczerze żałobę ze swoją władczynią, bo trzeba pamiętać, że Anglik ma dwie rodziny: własną i królowej, a obydwie kocha jednako



Kościół westminsterski w Londynie, w którym znajdują się grobowce królów angielskich.

szczerze. Niefortunna wojna w Afryce południowej przyprawiła królowę o rozdrażnienie nerwowe i ostatecznie zgon jej spowodowała. A monarchini była przeciwną tej krwawej akcyi, która Anglię o tyle strat przyprawiła i zniechęciła do niej świat cały.

Królowa Wiktorya pozostawiła po sobie najlepsze wspomnienie i bardzo liczne potomstwo. Miała dziewięcioro dzieci, czterdziestu wnuków, trzydziestu prawnuków. Z wyjątkiem rodzin królewskich we Włoszech i w Austryi, wszystkie zresztą dwory cesarskie i królewskie są spokrewnione z jej dworem, jak to zobaczymy z niżej przyłączonych szczegółów. Córka jej najstarsza, ks. Wiktorya, ur. dn. 21 listopada 1840 r., poślubiła w r. 1858 następcę tronu pruskiego, ks. Fryderyka, późniejszego cesarza Niemiec, zm. w r. 1888. Syn najstarszy, ks. Walii, obecnie dziedzic korony angielskiej, ur. 9 listopada 1841, zaślubił ks. duńską, Aleksandrę, córkę króla Chrystyana IX. Córka druga, Alicya, ur. w r. 1843, zm. r. 1878. Syn drugi, Alfred, ks. edynburski, panujący ks. Sachsen Koburg Gotha, ur. w r. 1844, zm. w roku zeszłym, był ożeniony z Wielką Księżniczką Maryą Aleksandrówną, córką cesarza Aleksandra II-go. Córka trzecia, ks. Helena, ur. w r. 1846, poślubiła Chrystyana ks. Schlezwig-Holstein Sondenburg-Augustenburg. Córka czwarta, ks. Ludwika, ur. 1848 r., poślubiła Jana ks. Sutherlandu, markiza of Lorne. Syn trzeci, Artur ks Connaugth, ur. 1850, zaślubił ks. Ludwikę pruską, córkę ks. Fryderyka Karola. Syn czwarty Leopold ks. Albany, ur. 1853 r., poślubił Helenę ks. Waldek-Pyrmont. Córka najmłodsza, ks. Beatrice, jest obecnie wdową po zmarłym księciu batenberskim.

Zatem w XX stuleciu większość tronów europejskich zajmą książęta, w których żyłach płynąć będzie krew domu królewskiego Anglii. *W-n.*

Na uroczystość 2-go Lutego.

Słychać chóry anielskie po Niebios przestworze
I płyną ich pieśni urocze hen za morze. —
To święto Maryi, Królowej Niebios, ziemi,
Tej Przeczystej Dziewicy, która łask Bożemi
Zsyła słowa pociechy, dobrodziejstwy darzy,
Gdy szala szczerej — głębszej miłości przeważy.
Do Niej więc ślijmy modły wzniosłe i gorące;
A wśród nieszczęść, tułaczej i długiej rozłące
Dostąpim chwały i wśród tysięcy radości,
Dumni przeszłością, uzyskam wieki wolności!....

Maryan Stablewski.

Matka Boska Gromniczna.

(Do illustracyi albumowej.)

Najwyższą cześć oddawali Polacy zdawna Najświętszej Maryi Pannie. Szczególniejsze nabożeństwo miał do Niej Bolesław Krzywousty, także Władysław Łokietek i prawie wszyscy królowie z wyjątkiem chyba Sasów i Stanisława Augusta. Jak piątek Panu Jezusowi, tak sobota poświęconą była Matce Boskiej, a w dniu tym we wszystkich domach staropolskich zapalano światło przed Jej obrazem. Wszystkie święta Bogarodzicy obchodził naród uroczyście, tak Jej *Oczyszczenie* (2 lutego), jak *Zwiastowanie* (25 marca), *Wniebowzięcie* (15 sierpnia), *Narodzenie* (8 września) i *Niepokalane Poczęcie* (8 grudnia). Święto Wniebowzięcia nosi nazwę Matki Boskiej *Zielnej;* Narodzenia ma miano *Siewnej,* zaś pierwsze w porządku kalendarzowym *Oczyszczenie,* najuroczyściej ze wszystkich obchodzone, nazywa się Matką Boską „Gromniczną.“ W kościele bowiem, jak wiadomo, w dniu tym poświęcano świece woskowe zwane gromnicami, które przytomni trzymali zapalone w czasie nabożeństwa. Świece te zapalano w czasie burzy i *gromów,* jako ochronę od niebezpieczeństwa, a przedewszystkiem jako znak gotowości na śmierć. Zwykle wisiały na ścianie, nad łożem każdego pobożnego katolika, przypominając mu, aby każdej chwili do konania był przygotowanym. Dawano je też konającym do rąk, aby skonanie mieli lżejsze i zły duch nie miał do nich przystępu. Komu w czasie procesyi zgasła gromnica w ręku, bez wiatru, uważano to dla niego za złą wróżbę.

Około dnia Najświętszej Panny Gromnicznej włóczyły się po lasach i polach wilki stadami, na które polowano wyjeżdżając saniami z prosiakiem, nie bez wielkiego niebezpieczeństwa. Bywały wypadki, że zwabione kwikiem prosięcia wilki goniły sanie i myśliwców aż na podwórzec dworski.

Do dnia Matki Boskiej Gromnicznej odnoszą się następujące przysłowia i prognostyki:

Gromnica — zimy połowica.
lub:
Na Gromnicę masz zimy połowicę,
Na Gromnicę łataj bracie rękawicę.

Gdy na Gromnicę roztaje,
Rzadkie będą urodzaje.

Gdy na Gromnicę z dachu ciecze,
Zima się jeszcze przewlecze.

Na Gromniczną Maryą
Niedźwiedź budę rozwali lub poprawi ją.

Gdy słońce świeci jasno na Gromnicę,
To przyjdą większe mrozy i śnieżyce.

Jasny dzień podczas Gromnice,
Lnu przyczynia na przęślicę.

Na Matkę Boską Gromniczną, jak mawiano, lepiejby wilk wpadł do owczarni, niż gdyby słońce przez drągi zaświeciło. (To znaczy, gdyby na ruszcie paszy już żadnej nie było w połowie zimy.)

W dzień Panny Gromnicznej,
Bywaj zdrów mój śliczny.

(Tak mawiano do kawalerów, którzy do tego dnia nie oświadczyli się i już w zapusty ożenić się nie mogli).

Jest jeszcze przysłowie odnoszące się do wszystkich świąt Matki Boskiej, a mianowicie:

Kto kocha Maryją
Nie pyta o wiliją.

Przysłowie powyższe powstało stąd, że gdy Kościół ustanowił posty w wigilię Wniebowzięcia, Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi — i przed dwoma innemi jeszcze świętami Matki Boskiej, to Polacy przejęci szczególną czcią dla Bogarodzicy zachowywali post surowy w wigilie wszystkich dni N. P. Maryi poświęconych, nie pytając, które były lub nie były przez Kościół zalecone. *Z. Gl...*

Na gromnicę.

Pozdrówmy przeczystą Dziewicę,
Zapalmy jarzące gromnice —
Psalmy zanućmy Jej w cześć!
Dziś Symon na ręce wziął dziecię
I chwałę mu wieścił na świecie
I ciężki krzyż, co miał nieść!

A Marya słów jego słuchała
I w sercu je wszystkie schowała —
Choć czysta, jak zorzy brzask,
Szanując zwyczaje prastare,
Gołąbki przyniosła w ofiarę
Dla oczyszczenia łask.

To my też, tak grzeszni, skalani,
Oddajmy hołd winny swej Pani,
Serc naszych obmyjmy trąd —
Miłości gromnice zapalmy,
Czynami Jej Syna pochwalmy,
Gotowi stańmy na sąd!

I żebrzmy litości w pokorze,
Gdyż bliskie snać sądy już boże,
Bo ziemia przepełna krwią —
Za wiarę mordują nam braci*)
Kraj w pęta okuli kaci;
A gromy niebieskie śpią.

Lecz Pani nasza w Jasnej Górze,
Z gromnicą pokoju w lazurze
Nad Polską znów błyśnie nam —
I górą pójdzie cnota duszy,
Bo Moskwy potęgę Pan skruszy,
Maryi tron świata da Sam!

Wincenty Stroka.

*) Rzeź Unitów podlaskich w Drelowie i Pratulinie.

KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

— Jakie życie pan pędziłeś w Paryżu?

— Życie odosobnione. Nie lubię świata. Byłem zresztą zajęty, a wszystkie wolne chwile spędzałem z ojcem.

— Istotnie spędzałeś pan z ojcem dni niedzielne, ale coś pan robił wieczorami dni powszednich?

— Zdarzało mi się nie raz powracać do kancelaryi po obiedzie. Gdy nie było tej potrzeby, wracałem do domu i pracowałem.

— Taki tryb życia jest nieprawdopodobnym w pańskim wieku. Zresztą odźwierny zeznał, że od jesieni wracałeś pan często do domu o północy.

— Bywałem czasami w teatrze.

— Przypuszczam, ale trudno mi uwierzyć, byś pan resztę czasu spędzał w domu. Oskarżenie twierdzi, żeś go spędzał w pawilonie przy ul. Arbaléte.

— To oskarżenie jest mylnem. W ostatnich czasach bywałem w Boulogne.

— U pani Lecomte. Temu nie przeczę. Ale wychodziłeś pan ztamtąd o dziesiątej, czasami i wcześniej. I tak wieczorem 13-go września, wyszedłeś pan o wpół do dziesiątej.

— Być może.

— Cóżeś pan robił potem?

— Wsiadłem do tramwaju, który mnie zawiózł na plac Zgody. Ztamtąd poszedłem do domu.

— Trudno panu dowieść, że nie mówisz prawdy. Stróż domu nie pamięta, kiedy pan wróciłeś, ale to wie, że nazajutrz przyszedłeś pan do domu bardzo późno.

— Istotnie. Byłem wraz z moim ojcem na obiedzie u pani Lecomte. Odprowadziłem ojca na Quai Conti, gdzie mieszkał i ztamtąd powróciłem pieszo na ulicę Mont-Thabor, przeszedłszy przez ul. Montmartre, bulwary i ulicę de la Paix.

— Wybierasz pan niestosowny czas do spacerów. Pamiętam, że owego wieczoru było bardzo chłodno i śnieg padał.

— Głowa mnie bolała, czułem potrzebę świeżego powietrza.

Ta odpowiedź wzbudziła szmer niezadowolenia wśród publiczności. Przewodniczący ciągnął dalej.

— Wedle aktu oskarżenia poszedłeś pan na ul. Arbaléte, zakradłeś się do pawilonu o północy, potem wymknąłeś się agentom, przedstawiwszy im kartę policyi tajnej. Otóż przyznałeś się pan przed sędzią śledczym, żeś miał taką kartę swego ojca, który niegdyś służył w policyi.

— Istotnie, znalazłem taką kartę w papierach mojego ojca i zabrałem ją, alem ją spalił. Nie potrzebuję panom tłómaczyć, dlaczego chciałem się jej pozbyć.

— Domyślam się. Rodzina, do której miałeś pan wejść, nie wiedziała, że jesteś synem byłego agenta tajnego. Chciałeś więc pan zniszczyć to świadectwo profesyi ojca.

Można jednak zauważyć to, że nie było możliwości, by ta karta dostała się do rąk pani Lecomte lub jej córki.

Zresztą agenci, strzegący pawilonu, poznali pana doskonale.

Jeden z nich nie stawił się na wezwanie. Umknął po zniknięciu głuchoniemego, przyłożywszy zapewne rękę do jego wykradzenia.

Pozwani są inni świadkowie, którzy wiedzą, żeś pan bywał u zamordowanej kobiety.

Przedewszystkiem mamy dowód materyalny i możemy go już przedstawić panom przysięgłym.

Woźny, przynieś odciski w glinie i postaw je na posadzce — dodał przewodniczący.

A zwracając się do przysięgłych, rzekł:

— Panowie te odciski zostały zdjęte na świeżym śniegu, przed pawilonem.

Dwa pierwsze są śladami stóp głuchoniemego, który niósł skrzynię i człowieka, który mu towarzyszył.

Trzeci odcisk odtwarza ślady człowieka, który nazajutrz po zbrodni, wszedł do pawilonu przy ul. Arbaléte.

Ślady, pozostawione pierwszej nocy, szły wszystkie w jednym kierunku, w stronę pawilonu. Możnaby przypuścić że ci ludzie weszli i pozostali. Po głębokiej rozwadze, doszliśmy jednak do wniosku, że głuchoniemy i jego wspólnik przez ostrożność wyszli tyłem.

Morderca nie zachował tej ostrożności nazajutrz, bo mu było pilno umknąć.

Podsądny Lecoq, włóż nogę prawą w odcisk gliniany.

Ludwik Lecoq, wystąpił naprzód. Wśród publiczności panowało wielkie zaciekawienie.

Wszystkie kobiety wstały, chcąc zobaczyć, czy morderca ma ładną nogę.

Nabab, przysłuchujący się sprawie z wielkiem zaciekawieniem, wstał także.

— Ten szeroki odcisk, panowie przysięgli — mówił — jest stopą głuchoniemego. Drugi mniejszy, pozostał na śniegu od stopy jego towarzysza.

Podsądny Lecoq włóż nogę.

Narzeczony Teresy wsunął w gliniany odcisk nogę wązką, wytworną, cienko obutą. Weszła z łatwością i obracała się swobodnie.

Po sali przeszedł szmer, przysięgli kiwali głowami.

— A teraz wstąp w drugi odcisk — rzekł przewodniczący.

Noga podsądnego pasowała znacznie lepiej do tego odcisku.

— Zwracam uwagę panów przysięgłych — rzekł prokurator — iż ślady mogą ulegać zmianom stosownie do tego, czy się idzie szybko lub powoli, czy się stąpa ciężko czy lekko. Pierwszej nocy morderca nie śpieszył się, drugiej — uciekał.

— Ja stwierdzam i zaznaczam — wtrącił obrońca — że zachodzi duża różnica pomiędzy temi dwoma odciskami. Nie pozostawiła ich na śniegu stopa tego samego człowieka.

— Przysięgli to osądzą — zakonkludował przewodniczący.

Odprowadzono oskarżonego na miejsce.

— A teraz — ciągnął dalej prezes — przejdziemy do innych dowodów. Twierdzisz pan, że portret zamordowanej kobiety nie był pańską własnością, że złodziej zaaresztowany w trupiarni Morgi, wsunął go w portfel, wyjęty z pańskiej kieszeni.

Jakże pan tłómaczysz słowa, wypisane na odwrotnej stronie fotografii: *Forget me not.* Panowie przysięgli wiedzą, że to znaczy: „Nie zapomnij o mnie".

Kilku przysięgłych kiwnęło głowami, aby dać dowód publiczności, że rozumieją po angielsku.

— Te słowa nie były do mnie zwrócone — odparł podsądny stanowczo.

— Dziwna rzecz, że dama kazała się fotografować z pasjansem i że u pana, w gabinecie ukrytym, znaleziono właśnie taki sam pasjans, rozłożony na stole.

Nie dość na tem. Kobieta trzyma w ręku damę pikową. A właśnie damy pikowej braknie w pasjansie, który pan przechowywałeś tak starannie. Znalazła się, wbita w serce ofiary.

— Tłómaczyłem ten zbieg okoliczności sędziemu śledczemu.

— Tak, twierdziłeś pan, że podczas pobytu w Niemczech, kładłeś pasjanse z młodą osobą, którą byłeś zajęty i że na pamiątkę tej miłości, zapomnianej, skoro miałeś poślubić pannę Lecomte, zachowywałeś pan karty, ułożone w pewnym porządku.

Jest to objaśnienie zgoła nieprawdopodobne.

— Prawdopodobniejsze od oskarżenia. które się opiera na tak błahym fakcie — odparł żywo Ludwik Lecoq.

— Na pańskie nieszczęście pisano do Heidelberga, a ojciec, zarówno jak i córka zaprzeczyli tej bajeczce.

— Owa panienka po wojnie poślubiła pruskiego oficera Rzecz prosta, że zapiera się dawnych stosunków z Francuzem.

Ta odpowiedź, wygłoszona spokojnie, zrobiła wrażenie korzystne.

Przewodniczący nie nalegał i zajrzawszy do papierów ciągnął dalej:

— Na lasce, znalezionej w pańskiem mieszkaniu, są ślady krwi. Oczywiście godziłeś gałką w p. Lheureuse. Tak twierdzą lekarze, którzy oglądali ranę.

— Nie widziałem nigdy p. Lheureuse.

— Być może że go pan widział po raz pierwszy u swojej kochanki, a ujrzawszy go siedzącego z nią przy kolacyi wpadłeś w gniew szalony i w przystępie tego gniewu, popełniłeś morderstwo.

To, co potem wynikło łatwo odtworzyć.

Rzuciłeś się pan na niego — on się bronił. Stwierdzono ślady bójki wynikłej. Byłeś pan młodszy i silniejszy od niego; popchnąłeś go do drzwi i tam uderzyłeś go w głowę, raz jeden, ale skutecznie.

Ludwik Lecoq nic na to nie odpowiedział. Pierwszy raz od rozpoczęcia indygacyi, stracił zimną krew.

— Prawda, że tak było — rzekł przewodniczący, spostrzegając jego wzruszenie.

Lecoq milczał.

— Nie jesteś pan może tak winnym, jak opiewa akt oskarżenia. Pański rywal mógł pana znieważyć... uderzyć w twarz... Straciłeś władzę nad sobą... Wynikła bójka... nie pan ją wywołałeś... wreszcie, doprowadzony do ostateczności, użyłeś laski... zabiłeś, ale nie dobrowolnie.

Wszystkie oczy były zwrócone na podsądnego. Siedział z głową spuszczoną; gdy ją podniósł, przez chwilę można było sądzić, że się przyzna.

Ale on rzekł z widocznym wysiłkiem:

— Powtarzam panu, żem nigdy p. Lheureuse nie widział.

Dreszcz przebiegł po sali. Przewodniczący zaczął głosem chłodnym, dobitnym:

— Trwasz pan przy swoim zgubnym systemie. Raz jeszcze pana uprzedzam, że sobie tem zaszkodzisz, albowiem dowody, które mam jeszcze przedstawić panom przysięgłym, obciążają cię bardzo, a szczerem wyznaniem mógłbyś zjednać sobie wyrozumiałość.

Oto koperta listu, zaadresowanego do Maryi Fassitt. Adres wypisany pańską ręką.

— Nie, panie.

— Woźny, podaj panom przysięgłym tę kopertę i papier, zapisany ręką podsądnego.

Podczas gdy przysięgli porównywali pismo, publiczność po cichu czyniła uwagi, a nie były one przychylne dla narzeczonego biednej Teresy.

Jego młodość, całe zachowanie, odpowiedzi wzbudziły sympatyę, zwiększoną jeszcze po nieudanej próbie z glinianemi odciskami.

Gdy jednak, wobec próśb przewodniczącego milczał uparcie, opinia publiczna wzięła to milczenie jego na zaklęcie prezesa, za nieme przyznanie się do winy i znowu przeciw niemu się zwróciła.

— Oto list — rzekł przewodniczący — sam pan przyznajesz, żeś go pisał.

— Tak, przyznaję — potwierdził Ludwik Lecoq — ale...

— Będziesz się pan tłómaczył, potem, gdy list odczytam. A teraz proszę panów przysięgłych o uwagę. Cały proces zawarty w tych słowach:

Po takim wstępie, zaczął:

„Kochana Mary!“

— List pisany po francuzku — dodał — ale imię Maryi skreślone z angielska: *Mary*. — Tak miała na imię zamordowana kobieta. Podsądny najoczywiściej pisał do niej, jak sami panowie osądzicie:

„Kochana Mary!“

„Należę do ciebie duszą całą. Dowiodłem ci tego i przysięgam ci, że będę cię kochał wiecznie. I czemuż mnie dręczysz? Czemu wzbraniasz się uciec ze mną. Czyżbyś nie należała do mnie w pełni? Czyżbyś dzieliła swe serce pomiędzy mną, a kim innym?

„Napróżno mi powtarzasz, że nie jesteś wolna, że masz obowiązki. Co znaczą obowiązki wobec miłości?

„I ja mam obowiązki, a jednak zapominam o nich dla ciebie. Czyż sądzisz, że mój ojciec pozwoliłby mi oddać się tobie na zawsze?

„Jakież prawa ma do ciebie człowiek, który zaciężył na twojem życiu? Cóż cię skłania poświęcać mnie — jemu.

„Braknie mi już sił i cierpliwości. Ulituj się nademną Zezwól na ucieczkę. Ja już tak dłużej nie wytrzymam. Połóż kres moim męczarniom, błagam cię o to w imię naszej miłości, porzuć tego człowieka, którego się boję i nienawidzę.

„Gdybyś nie wysłuchała mojej prośby, Mary, gdybyś nie chciała wyzwolić się z pod tyranii tego nędznika, popchnęłabyś mnie tem do zbrodni.

„Dobrześ zrobiła, przeszkadzając naszemu spotkaniu, bo gdybym go ujrzał na mojej drodze, zabiłbym go z pewnością i zabiję, jeżeli pozostaniesz nadal pod jego władzą.

„Ale nie, ty zrzucisz z siebie to jarzmo, uciekniemy razem. Czegóż się obawiasz? Gdyby gonił za tobą ja będę przy tobie, ja cię obronię. Wiesz przecie, że on nie może opuścić swojego kraju, swoich interesów.

„Czy chcesz, byśmy wyruszyli za trzy dni? Czy chcesz, bym przyszedł po ciebie wieczorem, po jego odejściu?

„Powiedz mi jedno słówko: „Tak“, a za trzy dni połączymy się na zawsze. Czekam twojej odpowiedzi z niepokojem i upragnieniem — będzie stanowiła ona o naszym losie.

„Wolę stokroć umrzeć, wolę widzieć cię martwą u moich stóp, niżli ciebie się wyrzec.“

— Ten list podpisany jest: „Ludwik“ — dodał prezes, odczytawszy pismo powoli, dobitnie, z naciskiem, na niektórych zdaniach. Podsądny, co masz do powiedzenia?

— Istotnie, ja ten list pisałem — odparł Ludwik Lecoq — ale pisałem go przed laty kilku.

— Do kogo?

— Do kobiety, którą kochałem wówczas.

— Wymień ją.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Bobym ją skompromitował

Na sali rozległy się okrzyki i śmiechy.

Woźny uciszył te urągliwe objawy i przewodniczący badał dalej z coraz większą surowością.

— Nie przypuszczasz pan chyba — mówił — aby sąd przyjął to objaśnienie po odczytaniu takiego listu. Każde jego słowo da się zastósować do zbrodni, spełnionej przy ul. Arbaléte. To pismo zapowiada ją przecie. *Mary* — to nieszczęśliwa ofiara. Człowiek, który ją ciemiężył, to p. Lheureuse.

Zabiłeś go pan, boś go nienawidził, jako rywala, boś go zastał u swojej kochanki, do której pisałeś wręcz: „Jeżeli go spotkam, to zabiję.“

Panowie przysięgli nie zapomną tego zdania.

Mary chciała istotnie uciekać. Kufry były już spakowane, panna służąca wyprawiona naprzód. Ale chciała uciekać nie z panem, tylko od pana.

Zdecydowała się powrócić do Anglii, aby ustrzedz się od pańskiej natarczywości, od ciągłych pańskich pogróżek.

Zwierzyła się ze swych obaw przed człowiekiem, który ją protegował, zapowiedziała mu swój wyjazd; przybył spędzić z nią ostatni wieczór.

Znaleziono przy nim jej bilet, w którym donosiła, że go czeka o dziesiątej.

Pożerany zazdrością, zjawiasz się. P. Lheureuse siedział przy kolacyi z Mary. Wszczynasz kłótnię, która się zakończyła morderstwem.

Wtedy, ziejący nienawiścią i zemstą, rzucasz się na nieszczęśliwą kobietę i przebijasz ją sztyletem.

Karta wbita w jej serce, jest przypomnieniem dawnych zaklęć. Wziąłeś ją ze stolika w buduarze i pokazałeś Mary, czyniąc jej gorzkie wymówki, ze stawiała ten sam pasyans, myśląc o pańskim rywalu. W porywie wściekłości wbiłeś jej tę kartę w samo serce.

Wszak obie zbrodnie spełnione zostały w ten sposób?

Ludwik Lecoq był bardzo blady, ale nie spuścił oczu i rzekł głosem drżącym:

— Przysięgam wobec Boga, żem nie zabił Maryi Fassitt.

Zapanowało milczenie lodowate. Publiczność wyrobiła już sobie sąd o tej sprawie i nie czekając na wyrok sędziów, potępiła oskarżonego.

Chcąc złagodzić wrażenie, obrońca wstał i nadmienił, że ten list został wręczony trybunałowi przez jakąś osobę nieznaną.

— Proszę panów przysięgłych — dodał — o łaskawe zwrócenie uwagi, że mój klient nie mógł zaopatrzyć się w skrzynię, skoro nie przewidywał spotkania z p. Lheureuse. Niepodobnem jest również, by wziął ze sobą głuchoniemego.

— Użyjesz pan tych argumentów przy obronie — rzekł mu przewodniczący. — Muszę jednak zaznaczyć, że skrzynia była na miejscu, jako własność Maryi Fassit, dalej, że podsądny mógł pójść po głuchoniemego spełniwszy morderstwo.

— Oskarżony, czy masz co do nadmienienia?

— Nic zgoła, panie przewodniczący.

— Możesz pan usiąść. Będziemy przesłuchiwali świadków

Było ich niewielu. Zawezwano tylko tych, bez których niepodobna było się obejść. Oskarżony nie powołał ani jednego. Jedynym, któryby mógł świadczyć za nim, był głuchoniemy, a ten zniknął bez śladu.

Przesłuchano naprzód szefa policyi tajnej; składał on świadectwa z umiarkowaniem, lecz dowodził stanowczo, że

i on i dwaj agenci, zwłaszcza Piédouche, widzieli Ludwika Lecoq nazajutrz po zbrodni w pawilonie przy ul. Arbaléte.

Węglarz i jego żona byli tego mniej pewni. Kilkakrotnie widzieli wprawdzie, że przychodzi jakiś „elegant“ podobny do oskarżonego, ale czy to był istotnie oskarżony za to nie mogli ręczyć.

Angielski rzezimieszek dowodził, że nie znał wcale Maryi Fassit i że niczego nie wsuwał do pugilaresu.

Wzywano następnie innych świadków — dostawców zamordowanej, którzy nie zdołali udzielić żadnych objaśnień co do jej zwyczajów; dalej dwóch przyjaciół p. Lheureuse, uczciwych kupców, którzy wygłosili szumne pochwały na cześć niebożczyka, dowodząc, że jego stosunek z Maryą Fassit był im zupełnie nieznanym; potem przyszła kolej na fotografa, który odbijał portret, na poborcę, który otrzymywał z Anglii podatki z domu przy ul. Arbaléte; wreszcie wezwano stróża z ul. Mont-Thabor, który upewniał, że jego lokator powrócił o drugiej po północy w dniu zbrodni i że nigdy kobiet u siebie nie przyjmował.

Następnie rozpoczęła się defilada rzeczoznawców i lekarzy. Dostarczyli bardzo mądrych objaśnień o ranach, zadanych ofiarom, o czasie, jaki upłynął pomiędzy spożyciem ostatniej kolacyi, a śmiercią. Eksperci pisma rozwodzili się nad charakterem liter i dowiedli, że koperta znaleziona u Maryi Fassit, była skreślona ręką Lecoqa.

Odczytano list przełożonego pensyonatu angielskiego, w którym podsądny pobierał pierwsze nauki. Dyrektor pisał, że Lecoq podczas pobytu w jego zakładzie dopuszczał się rozmaitych wykroczeń przeciw regulaminowi szkolnemu i że próbował uwieść córki kilku gentlemanów z sąsiedztwa.

Przytaczano także odpowiedź profesora z Heidelbergu. Z oburzeniem zaprzeczał, aby kiedykolwiek jego córka Bethina kładła pasjanse lub też związywała się słowem z podsądnym.

Wreszcie wezwano pannę Lecomte.

Jej matka z powodu zdrowia nie mogła przybyć do sali sądowej. Biedna panienka musiała wytrzymać sama ten grad indygacyi. Spodziewano się, że jej obecność skłoni oskarżonego do zeznań.

Teresa wystąpiła naprzód, ubrana w czerni, jak gdyby nosiła już żałobę po narzeczonym, twarz jej kryła się pod gęstą woalką.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niej, z wyjątkiem oczu Ludwika, który odwrócił się i szepnął kilka słów na ucho swemu obrońcy.

Sądził, iż Teresa go nie dojrzy, miał nadzieję, że nie zmuszą go przemawiać w takich okolicznościach do ukochanej.

Mylił się jednak.

Przewodniczący okazał wiele względów pannie Lecomte. Kazał jej przynieść krzesło, czekał aż się uspokoi, prosił ją, bardzo delikatnie, by podniosła woalkę i zdjęła rękawiczki dla złożenia przysięgi.

— Zechce nam pani powiedzieć — spytał wreszcie — o której godzinie p. Lecoq wyszedł od pań wieczorem 13-go stycznia?

— Zdaje mi się, że o wpół do dziesiątej — odparła głosem tak cichym, że go zaledwie było słychać.

— A nazajutrz 14-go?

— O dziesiątej.

— Mówi pani prawdę. Sąd jest pani za to wdzięcznym, bo wchodzi w jej przykre położenie. Ale spodziewa się po pani jeszcze więcej. Ma nadzieję, że zechce pani udzielić mu objaśnień co do uczuć p. Lecoqa.

Teresa zbladła i nic na to nie odrzekła.

— Tłómaczę się jaśniej — mówił przewodniczący. — Mamy przed sobą człowieka, którego życie było nieskazitelnem, aż do chwili zbrodni, o którą jest oskarżony. Nie ma tu chyba nikogo, ktoby nie pragnął widzieć go oczyszczonym z zarzutu. A jednak on sam nie chce się usprawiedliwić. Zaprzecza wszystkiemu, nawet dowodom oczywistym, niezbitym.

Mimo woli nasuwa się przypuszczenie, że go w tem powstrzymuje jakiś wzgląd niezrozumiały, może obawa przyznania się do winy mniejszej stokroć od morderstwa, o które jest posądzony. On woli jednak być pod takim zarzutem, niźli tę winę wyjaśnić.

Gdyby zechciał prawdę powiedzieć, okazałby się z pewnością w niej godnym potępienia, jeśli będzie trwał nadal w tym systemie zgubnym zaprzeczeń, to gotowi jesteśmy przypuścić, że nie może się powołać na żadne okoliczności łagodzące.

— Ręczę, że on w życiu swem nie skłamał — szepnęła panna Lecomte.

— Oby sędziowie przysięgli mogli dzielić tę wiarę!! A teraz poproszę panią odpowiedzieć na jedno pytanie i zrozumieć, dlaczego o to pytam. Czy wierzysz pani, że podsądny kochał panią szczerze?

— Jestem tego pewna — odparła głosem zdławionym.

— Słyszałeś pan — rzekł prezes zwracając się do oskarżonego. — Czy wobec takich słów odmówisz wyjaśnienia, które narzeczona panu ułatwia?

Na takie wezwanie Ludwik Lecoq drgnął i podniósł się.

Można było sądzić, że głos zabierze, ale padł znowu na ławkę i milczał.

— Czy nie rozumiesz pan, że tem milczeniem sam się potępiasz? Więc nie masz pan litości nad nieszczęśliwą panienką, która pokłada w panu wiarę nieograniczoną, która nie wątpi o pańskiej miłości?

Jeśli ją kochasz, jak możesz trwać w tym swoim uporze, dlaczego nie przyznajesz się do winy? Wszak ona, kochając, darowałaby ją panu z pewnością.

Zaległo milczenie. Przysięgli byli wzruszeni, publiczność również. Nabab łzy ocierał.

— Usłuchaj pan głosu rozsądku i sumienia — nalegał przewodniczący. — Przyznaj otwarcie, że znałeś dawniej Maryę Fassit, że fatalność zagnała cię do pawilonu przy ul. Arbaléte, że dałeś się unieść gniewowi, że nie obmyśliłeś tej zbrodni. Sąd i przysięgli poczytają ci szczerość za zasługę.

Więc nie obstawaj przy kłamstwie, które się na nic nie zda, które cię zgubi.

Powiedz prawdę. Zaklinam cię o to w imię narzeczonej.

I znowu podsądny otworzył usta, jak gdyby miało z nich paść wyznanie.

Ale jego oczy spotkały się z zapłakanemi oczyma Teresy.

— Nie, nie mogę, nie mogę... — szepnął.

Panna Lecomte zachwiała się. Na wpół zemdlałą podtrzymał woźny i wyprowadził ją ze sali.

Przewodniczący czekał aż się za nią drzwi zamkną i rzekł surowo:

— Podsądny, czy masz co jeszcze powiedzieć na swoją obronę?

— Nie — odparł Ludwik Lecoq.

— Rozprawy skończone. Urząd publiczny głos zabiera.

Te słowa zabrzmiały, jak dzwon pogrzebowy.

Wszyscy rozumieli, że podsądny jest zgubionym.

Odrzuciwszy deskę zbawienia, którą mu przewodniczący podsuwał, sam na siebie wydał wyrok potępiający.

Prokurator miał łatwe zadanie. Spełnił je dyskretnie.

Mówił o uczciwym poprzednio żywocie oskarżonego, zaznaczając wątpliwości, niektóre ciemne punkty jego sprawy, i oświadczył, że pierwszy żądałby zmiejszenia kary, gdyby Lecoq uczynił zeznanie.

Następnie rozpatrywał po kolei dowody potępiające, ułożył je w pewnym porządku i wyprowadzając z nich wnioski nadzwyczaj ścisłe, wykazał, że nikt inny tylko Lecoq, mógł być sprawcą morderstwa przy ulicy Arbalète...

— Szkoda wielka panowie, — rzekł w zakończeniu — iż nie zdołaliśmy przeniknąć pobudki, która skłoniła podsądnego do tych zbrodni. Lecz bądź zemsta, bądź zazdrość, lub obawa stracenia bogatej partyi, uzbroiły rękę Lecoqa. Morderca kobiety i bezbronnego staruszka, nie zasługuje na waszą litość, panowie przysięgli.

Jeżeli obrońca przypomni nam, że braknie kilku ogniw w łańcuchu oskarżeń i tożsamość jednej z ofiar nie została stwierdzoną dostatecznie, że głuchoniemy, świadomy czy też nieświadomy, lecz główny wspólnik winy, nie mógł być skonfrontowany z mordercą, te luki nie zmieniają treści procesu. Wiem, panowie, że będziecie słuchali tylko głosu waszego sumienia, i że tak samo, jak ja, uznacie, iż społeczeństwo byłoby zagrożone, gdyby winni mogli unikać kary dlatego tylko, że niefortunny zbieg okoliczności pozbawił sądu ważnego świadka i pożądanego zeznania.

Ufam, panowie, że nie uniesiecie się litością, ani pobłażaniem dla sprawy jednej z najpotworniejszych zbrodni, jakie od lat wielu zdarzyły się w Paryżu.

Dreszcz przebiegł po obecnych. Oskarżyciel publiczny najwyraźniej domagał się głowy podsądnego.

Jeden tylko Ludwik Lecoq pozostał chłodnym, on jeden nie drgnął na te słowa.

Wzburzenie jeszcze się nie uśmierzyło, gdy powstał obrońca.

I on także był zręczny i wymowny.

Oddał hołd szlachetności urzędu publicznego i bestronności przewodniczącego, potem, przystępując do faktów, położył nacisk na słabe punkta oskarżenia.

Zapytywał, czy człowiek na stanowisku Ludwika Lecoq, mógł narażać swą głowę dla pozbycia się dawnej kochanki i rywala?

Przypomniał, że nie zostało dowiedzionem, iż Lecoq znał pana Lheureuse i Maryę Fassitt.

Zaznaczył sprzeczności: Z jednej strony twierdzono, że podsądny zabił obie ofiary w przystępie gniewu, ujrzawszy je razem; z drugiej zaś strony zarzucano mu, że przedtem obmyślił sposób usunięcia zwłok.

I gdzież chciał ukryć trupa nieszczęśliwej Maryi, każąc go nieść przez odludną dzielnicę miasta?

Zkądże się wziął głuchoniemy? Czyż go kto widział kiedy z Lecoq'em? A przecież ów niemowa nie mógł się spotkać po raz pierwszy z mordercą w dniu zbrodni, boby go nie zrozumiał i nie oddał się na jego usługi. Jeżeli znikł, byłaż to wina podsądnego, który od początku domagał się wciąż konfrontacyi?

Przypuściwszy nawet, że Lecoq ośmielił się przyjść nazajutrz po zbrodni do pawilonu przy ulicy Arbalète, dlaczego wołał ową *Mary*, zamordowaną dnia poprzedniego?

Jeżeli sam ją zabił, to wiedział, że odpowiedzieć nie może na jego wezwanie.

Jakież przedstawiono dowody jego winy?

Nie zdołano nawet dowieść, że jego noga równa się śladom pozostawionym przez winowajcę.

— Mówiono wam, panowie przysięgli — kończył obrońca – że dobro społeczne wymaga, by te dwie zbrodnie nie pozostały bezkarnemi. A ja wam powiadam, że dla społeczeństwa stokroć ważniejszem, by niewinny nie złożył głowy pod gilotynę.

Nie możecie potępić człowieka na mocy poszlak; a przeciw Lecoq'owi świadczą tylko same poszlaki. Niechże wam przyprowadzą niemowę, niech pozna oskarżonego, a wtedy bądźcie nieubłagani.

Żądają od was głowy Ludwika Lecoq. Ja kołaczę tylko do waszej litości i domagam się od niej złagodzenia wyroku. Jeżeli mój klient jest winien, to zasłużył na śmierć, ale nie udowodniono mu winy, więc go ułaskawicie, jestem tego pewny.

Publiczność była wzruszona. Kilku przysięgłych płakało, ale można płakać z litości nad winowajcą, choć się uznaje jego winę.

Zauważono, że obrońca nie wspomniał o pannie Lecomte — czem dał dowód taktu — ani o liście pisanym przez podsądnego.

Ten list był najwymowniejszem potępieniem. Zawierał zapowiedź zbrodni, miał też oddziałać na sąd przysięgłych.

Przewodniczący prowadził dalej obrady z wielką bezstronnością, lecz widać było, że uznaje podsądnego winnym.

Wyprowadzono Ludwika Lecoq.

Narady przysięgłych trwały ze dwie godziny, a gdy powrócili na salę, można było na ich smutnych twarzach odczytać wyrok.

Zapanowało milczenie, pełne groźby, wreszcie padły słowa:

— Tak, podsądny jest winien.

Nie było okoliczności łagodzących, a więc czekała go śmierć.

Wprowadzono oskarżonego. Spojrzał na obrońcę, ten miał oczy spuszczone.

Ludwik domyślił się wszystkiego, a gdy prezes, po odczytaniu wyroku, zapytał go, czy nie ma nic do nadmienienia, odpowiedział chłodno:

— Nie, panie, zrzekam się skargi kasacyjnej.

— Masz pan trzy dni czasu do rekursu — rzekł przewodniczący, wzruszony bardziej od niego.

Tłum wypływał na ulicę w milczeniu. Wszyscy byli pewni, że wyrok jest słusznym, a jednak czuli, że braknie dowodów.

Nabab wyszedł ze swoim murzynem zaraz po wyroku, nabrawszy zapewne przekonania o wyższości sądów europejskich nad doraźną sprawiedliwością jego kraju.

Gdy Ludwik Lecoq przechodził przez ciemny kurytarz, jeden z dozórców szepnął mu na ucho:

— Ojciec błaga pana, byś podpisał skargę kasacyjną.

W tejże chwili Teresa Lecomte, wychodząc z pokoju świadków, uczuła, że jej ktoś wsuwa w rękę bilecik.

Podeszła do balkonu i przeczytała:

„Nie rozpaczaj. Przysięgam, że go ocalę.“

Bilecik był podpisany: „Lecoq“.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

Pan Lecoq działa.

ROZDZIAŁ I.

Paryż jest miastem przeciwieństw.

Tu tańczą na pierwszem piętrze, umierają na trzeciem, cierpią głód w suterenach, podczas gdy na parterze odcinają kupony od papierów procentowych.

Śmierć kołacze tu i owdzie, zagląda do pałaców i na strychy — nieszczęście spada całym swym ciężarem na wesołe domy, zaś fortuna wchodzi tam, gdzie jej nie widywano dotychczas.

Od trzech miesięcy okna mieszkania pana Lecoq były zasłonięte, antykwaryusze nie widywali już codziennie staruszka, przyglądającego się wystawom sklepowym. A nietylko oni spostrzegli jego nieobecność. Dawała się we znaki ubogim w całej dzielnicy i wróblom w ogrodzie Luksemburskim.

Płakano dniem i nocą w ślicznej willi w Boulogne, tak niegdyś wesołej i miłej.

Po skazaniu Ludwika, pani Lecomte chciała uciec z tego przeklętego miasta, w którem narzeczony jej córki dożywał ostatnich dni w więzieniu la Roquette.

Ale Teresa błagała, by jeszcze pozostać.

Wierzyła jeszcze w niewinność Ludwika i nie traciła nadziei, wiedząc, że ojciec Lecoq postanowił ocalić nieszczęśliwego, opuszczonego przez wszystkich.

Ileż to razy odczytywała kartkę, w której stary policyant przysięgał, że jej odda Ludwika. Ufała, że dotrzyma przysięgi. Pragnęła mu dopomódz, a przynajmniej pokrzepić go na duchu, że jej uczucia zawsze jednakie, że do śmierci pozostanie wierną jego synowi.

Ale pan Lecoq znikł bez śladu i od dnia, w którym sąd przysięgłych potępił Ludwika, staruszek nie dawał znaku życia.

Była pewna, że działa w ukryciu, ale nie wiedziała nawet, czy jest w Paryżu.

Wiadomem jej było tylko z dzienników, że oskarżony po pierwotnej odmowie, zdecydował się wreszcie podpisać rekurs, zapewniający mu krótkie przedłużenie egzekucyi.

Nieszczęśliwa panienka liczyła dni, myśląc, że każda upływająca godzina, zbliża się do tej strasznej chwili, w której kat przyjdzie po niego.

Czy go wybawca uprzedzi? Czy na czas zdąży?

Teresa modliła się i cierpiała, błądząc całemi dniami po parku, w którym zamienili tyle przysiąg wiecznej miłości.

Mniej się smucono u p. Tolbiaca de Tinchebray.

Miał on wiele powodów do uciechy i otoczenie korzystało z jego dobrego humoru.

Pokojówka stroiła się w jasne tualety, dar swego pana, groom dostał nową liberyę. Wesołość panowała w antresoli.

Nieszczęście ojca Lecoq wyszło na korzyść detektywa, który od dawna już pragnął go zakasować, bo chociaż stary policyant usunął się od „interesu“, lecz prefektura zasięgała zawsze jego rady w sprawach drażliwych, co gniewało jego następcę.

Teraz, gdy staruszek znikł z widowni, jego dawna klientela, zwróci się do szczęśliwego współzawodnika, będzie mu składała brzęczące dowody swej wdzięczności. P. Tolbiac był pewny, że zrobi wkrótce majątek w korzystnej profesyi, która wzbogaciła niegdyś ojca Lecoq.

Nadto sprawa przy ul. Arbalete ujawniła zdolności przybysza z po za kanału. Wprawdzie nie Tolbiac wykrył mordercę, zasługa ta spadała na Piedouche'a — lecz ów agent tak się zdyskredytował w następstwie, że nie było już o nim mowy, tembardziej, że sam się ukrywał.

Posądzono go, że przyczynił się do ucieczki głuchoniemego i poszukiwano, aby wtrącić do więzienia.

Szef policyi przypisywał więc całą zasługę w sprawie damy pikowej p. Tolbiacowi, który istotnie bardzo dzielnie

dopomógł sędziemu śledczemu. On to wpadł na myśl ogłoszenia w dziennikach, że ktokolwiek posiada jaki dokument, mogący wyświetlić tajemnicę przy ulicy Arbalete, proszony jest o przesłanie go prokuratorowi.

Takie ogłoszenia, używane są w Anglii; we Francyi zaś zgoła są nieznane. W tym wypadku publikacya okazała się skuteczną.

Zaraz nazajutrz prokurator otrzymał list, pisany przez Ludwika Lecoq do Maryi Fassitt, ów list, który wpłynął na wyrok sędziów przysięgłych.

Słowem, świetny detektyw był na drodze do fortuny. Zresztą nazwisko jego nie było wymienione w dziennikach a że nie był wezwany na świadka, więc też nie znajdował się na sali podczas procesu.

Jego przyjaciele płci obojej mogli zatem w dalszym ciągu uważać go za prawdziwego gentlemana, którego jedynem zajęciem była zabawa.

Jego stosunki majątkowe pozwalały mu bywać w świecie wesołym, zarobił bowiem dużo pieniędzy na swoim fachu w Londynie i był w trakcie powiększania tych funduszów w Paryżu.

Sukcesya O'Sullivana miała go także wzbogacić, podjął się bowiem odszukać spadkobiercę owego milionowego majora a wrazie gdyby go odnalazł, miał otrzymać olbrzymią prowizyę.

Tak przynajmniej przedstawił tę rzecz prefekturze policyi, którą zapytywał o pewne szczegóły. Nie zdołano mu ich dostarczyć, ale dano mu pozwolenie przedsiębrać kroki na własną rękę.

Korzystając z tego, całe ranki przesiadywał w swoim gabinecie, zbierając dowody odnoszące się do tego słynnego spadku.

Zdarzało mu się też nieraz znikać na dzień, na dwa dni, w takich razach nie brał powozu, wychodził pieszo, a wracał dorożką. Służba nie wiedziała nigdy, gdzie bywał.

Te tajemnicze wyprawy miały zapewne na celu poszukiwanie spadkobierców.

Jednak nie jeździł do pani Lecomte, do Boulogne, ani na kolej Orleańską, gdzie pracował Piotr Cambremer.

Zapewne uważał, że chwila była niestósowną do mówienia o interesach z narzeczoną Ludwika a pamiętał, że go zwrotniczy źle przyjął.

Zresztą Teresa i mała Marta Cambremer zyskiwały prawo do sukcesyi majora, w takim tylko razie, gdyby udowodniono śmierć bliższego spadkobiercy, a tego właśnie Tolbiac poszukiwał.

Bądź co bądź Cambremer kilkakrotnie zjawiał się przy ulicy Godot de Mauroy, aby oddać właścicielowi złoto, rozproszone na linii kolejowej, ale nie mógł nigdy zastać detektywa.

Koniec końców zostawił u odźwiernego luidory, które jego córka zebrała z narażeniem własnego życia.

Wytworny lokator nie chciał widocznie przypuścić do siebie prostego robotnika.

Jego znajomi należeli do innej sfery społecznej. On lubił towarzystwo hulaków, bogatych cudzoziemców i dam z półświecia, zwłaszcza jednej, przybyłej niedawno do Paryża, a już sławnej ze zbytków.

Trzymała konie pełnej krwi, służących wytresowanych; w jej salonie spotykali się mężczyźni wszelakich sfer.

Pan Tolbiac bywał tam stale. Pewnego wieczoru, wkrótce po skazaniu Ludwika Lecoq, znajdował się tam w licznej kompanii, gdy wygalowany kamerdyner zameldował:

— Jego Ekscelencya Dżafer, nabab Bahuru.

To nazwisko egzotyczne zrobiło wielkie wrażenie wśród gości Arabeli Disney, tak bowiem zwała się piękna cudzoziemka.

Wszystkie oczy zwróciły się na magnata, którego zaanonsowano tak szumnie.

A nabab był istotnie ciekawym okazem.

Był to starzec majestatyczny, ubrany po indyjsku cały w jedwabiach, złocie i drogich kamieniach.

Bogaty kostium, śnieżna broda, płeć ogorzała, oczy żywe i zęby, jak perły zyskały mu odrazu sympatyę księżniczek z półświatka. Mężczyźni uznali, że ma minę wspaniałą i przyjęli go uprzejmie.

Gospodyni domu wystąpiła na jego spotkanie i dziękowała mu, że raczył przyjąć zaproszenie nieznajomej.

Arabella Disney wyrobiła sobie specyalność przyjmowania wszystkich dostojnych gości z krajów odległych, którzy zawitali do Paryża. Obznajmiała ich z przyjemnościami stolicy.

Mając stosunki we wszystkich większych hotelach dowiadywała się o przybyciu każdego księcia azyatyckiego, milionera i natychmiast zapraszała go do siebie.

Usłyszawszy zatem, że Paryż ma szczęście gościć w swych murach nababa z Bahuru, pośpieszyła otworzyć na oścież podwoje swojego wspaniałego apartamentu przy bulwarze Haussmann.

Nabab odpowiedział, że przybędzie chętnie. Wówczas Arabella zaprosiła swoich licznych przyjaciół i swoje piękne przyjaciółki. Było to grono „doborowe“, albowiem miss Disney przyjmowała tylko ludzi z wybitnemi stanowiskami i kobiety, tworzące śmietankę półświatka.

Sprytna Angielka wtargnęła przebojem do głównego sztabu galanteryi, choć była nieznaną w Paryżu. Od czterech miesięcy zaledwie ukazywała się na polach Elizejskich, w lasku Bulońskim i w modnych teatrach.

Przybywała wprost z Londynu, a że odrazu olśniła wszystkich zbytkownością zaprzęgów i toalet, nie pytano o jej przeszłość.

Krążyły zresztą pogłoski, że jest w blizkich stosunkach z pewnym lordem, który musiał się z nią rozłączyć chwilowo z powodu jakiegoś skandalu, że jednak zawezwie ją niebawem.

P. Tolbiac, jej dawny znajomy z Anglii, przyczynił się do szerzenia tych pogłosek. On to wprowadził piękną Disney w świat paryskiej galanteryi.

Jeden z pierwszych wystąpił na powitanie nababa i przemówił do niego po angielsku.

Dostojny Azyata odpowiedział mu z akcentem cudzoziemskim:

— Daruje pan, ale z języków europejskich znam tylko francuski. Nie urodziłem się w prowincyach, należących do Anglii w Indyach Wschodnich. Ja i moja rodzina służyliśmy Francyi. Pochodzę z Pondichery i przez patryotyzm nie chciałem się nauczyć po angielsku.

— To uczucie przynosi panu zaszczyt -- odparł p. Tolbiac z pewnem zdziwieniem.

— A ja czuję się tem szczęśliwszą — wtrąciła miss Arabella — z umizgiem — że Wasza Ekscelencya nie ma mi za złe mojego pochodzenia.

— Nie posuwam tak dalece patryotyzmu, aby unikać Angielek, zwłaszcza gdy są piękne, tak jak pani — odrzekł nabab z galanteryą.

Ten komplement sprawił jaknajlepsze wrażenie i mógł być szczerym, bo choć miss Disney przekroczyła już granice pierwszej młodości, była jeszcze bardzo powabną.

Miała włosy blond jasne, płeć olśniewająco białą, usta koralowe i oczy niebieskie, o dziwnym blasku.

Ogólne wrażenie psuł jednak wyraz twarzy — nieszczery.

Arabella uśmiechała się do wszystkich, ale nie patrzała nikomu w oczy.

Uśmiechnęła się więc do nababa, i miała mu odpowiedzieć na komplement, gdy zameldowano dwóch *attachés* poselstwa brazylijskiego.

Ci dyplomaci z poza oceanu byli specyalnymi przyjaciółmi. Musiała odejść od nababa indyjskiego.

— P. Tolbiac de Tinchebraj, którego mam zaszczyt przedstawić Waszej Escelencyi — rzekła — odda się z radością na jej usługi.

Zbliżyła się do Brazylijczyków.

— Jaka czarująca osoba! — zawołał nabab. — Jestem jej bardzo wdzięczny, że mnie zaprosiła. Czy pan ją zna dobrze?

— Pani Disney jest bardzo gościnną, w domu jej jest wesoło. Bywam tu często dla zabawy. Mam nadzieję, że będziemy tu częściej oglądać Waszą Ekscelencyę, sądzę bowiem, że Wasza Ekscelencya podróżuje dla rozrywki.

— Dla rozrywki przedewszystkiem, ale także w pewnym interesie. Zresztą lubię studyować obyczaje krajów, które zwiedzam. Jestem obywatelem jednej z kolonii francuskich, a dotychczas Francyi nie znałem. Wszystko mnie tu interesuje, zabawy, również jak i wymiar sprawiedliwości. I tak słuchałem z wielkiem zaciekawieniem procesu tego młodzieńca, który został na śmierć skazany.

— Dzienniki opowiadały istotnie, że Wasza Ekscelencya była na sali.

— Czyż dzienniki mną się zajmują?

— To rzecz naturalna. Obecność tak dostojnej osoby, zwróciła ogólną uwagę. Pani Disney była także na procesie. Widziała Waszą Ekscelencyę i zapragnęła ją poznać.

— W takim razie winszuję sobie, żem dał się pociągnąć ciekawości. Chciałem zobaczyć zbrodniarza i zobaczyłem go, a w dodatku zyskałem zaproszenie pięknej kobiety. Ale jak pan sądzisz, czy ten chłopak jest winien?

— Zdaje mi się.

— A mnie się zdawało, że zachodzą pewne wątpliwości:

— Przyznam Waszej Ekscelencyi, że mało się zajmowałem tą sprawą. Nie czytuję „Gazety Sądowej“.

— Mniejsza zresztą o tego młokosa. Skoro pan zastępuje panią Disney, poproszę go o wprowadzenie mnie w to grono doborowe. Ale wpierw muszę panu wytłómaczyć, dlaczego ja starzec, szukam wesołej kompanii, dlaczego chcę wniknąć w życie paryskie. Otóż jestem ostatni z mojego rodu, albowiem utraciłem ukochanego syna.

Mam w Indyach olbrzymi majątek, który przejdzie na rząd, jeśli nim nie rozporządzę przed śmiercią a chciałbym go zostawić potomkom człowieka, który niegdyś ocalił życie mojemu ojcu. Lecz, niestety, jego potomków nie znam. Przybyłem do Europy, ich wyszukać.

— Będę uszczęśliwiony, jeśli mi się uda pomódz Waszej Ekscelencyi w tych poszukiwaniach — rzekł Tolbiàc skwapliwie, węsząc już dobry interes.

— Dziękuję panu — odparł Indyanin — i pewny jestem, że przy swoich licznych stosunkach, zdołasz mi pan ułatwić żądanie. Przyjaciel mojego ojca był oficerem armii angielskiej. Nazywał się O'Sullivan.

— O'Sullivan! — podchwycił Tolbiac. — Może major Jakób O'Sullivan?

— Służył w 33-im pułku piechoty — poddał nabab.

— W prezydenturze bombajskiej.

— Nie inaczej.

— I umarł w Poonah w r. 1811-ym.

— Pan to wszystko wie! — zawołał Indyanin. — Ależ w takim razie znasz pan moich spadkobierców? Ah! panie, gdybyś mógł ich wskazać, moja wdzięczność nie znałaby granic.

Twarz p. Tolbiaca wyrażała zdziwienie, chciwość i niepokój zarazem.

A było też czemu się dziwić. Sukcesya O'Sullivana była głównym celem jego zabiegów. Opuścił Londyn po to tylko, aby odnaleźć spadkobierców, nie zwierzał się z tem nikomu, nawet prefekturze policyi. I oto nagle spotyka człowieka, przybywającego z Pondichery, po to tylko, aby odszukać sukcesorów majora.

— Ekscelencyo — rzekł po krótkiej chwili namysłu — dziwi pana zapewne, że i ja o tem słyszałem. Ale muszę objaśnić, żem mieszkał przez długi czas w Anglii i że przyjaźniłem się z dyrektorem kompanii indyjskiej, który mi często wspominał o majorze O'Sullivaine, a zwłaszcza o jego sukcesyi.

— Więc pozostawił majątek? pytał nabab.

— Majątek dość znaczny — odpowiedział Tolbiac wymijająco — tej fortuny nie oddano dotychchczas spadkobiercom, bo niewiadomo co się z nimi dzieje.

— A więc będą bogaci?

— Tak, jeśli się stawią i wykażą swoje prawa do sukcesyi. Ale dotychczas nikt się nie zgłosił. Wiadomo jednak, że ród Sullivanów jeszcze nie wygasł. Major miał cztery siostry, wszystkie wyszły za mąż i miały dzieci, ale umarły w nędzy... Dzieci rozproszyły się po świecie.

— Czemużem wcześniej o tem nie wiedział — westchnął bogacz indyjski.

— Robiono poszukiwania, ale bezowocnie. Fortuna majora pochodzi ze sprzedaży gruntów, które posiadał w Kanadzie, a które za jego życia nie miały żadnej wartości. Na tych gruntach w następstwie pobudowano miasto, więc zostały sprzedane bardzo drogo po jego śmierci.

To tłómaczy dlaczego tak trudno odnaleźć sukcesorów właściwie sukcesora, co wedle prawa angielskiego, dziedziczy najbliższy krewny z wykluczeniem wszystkich innych.

Zatem gdyby jeszcze żył jaki siostrzeniec O'Sollivana, doszedłby do majątku z pominięciem wnuka ciotecznego, który znowu miałby większe prawa od ciotecznego prawnuka itd.

— Dziękuję panu, nie mógłbym otrzymać dokładniejszych informacyi od nikogo i skorzystam z nich w razie danym.

— Czy wolno mi zapytać, jaki zrobisz pan z nich użytek? rzekł po krótkiem wahaniu p. Tolbiac.

— Bardzo prosty. Jeżeli siostrzeniec majora zostanie odnaleziony, to ja podzielę moją fortunę pomiędzy tych, którzy będą wyzuci ze spadku.

— Bardzo słusznie. Są zapewne ubodzy. Gdyby byli bogaci, wiedzianoby o ich istnieniu.

— Otworzyłbym im zaraz ramiona i serce. Rzekłbym: „Jesteście mojemi dziećmi. Wszystko co mam, do was należy“. Jakżebym pragnął znaleźć rodzinę. Jestem zupełnie sam na świecie! Ale to zapewne marzenie niedościgłe. Wszak pan powiadasz, że dotychczas nie zdołano odszukać spadkobierców. Nie mogę więc łudzić się, abym ja przybyły z głębi Indyi, dokonał tego, czego nie zdołała policya angielska.

— Jeżeli Wasza Ekscelencya będzie prowadziła poszukiwania na własną rękę, to pozostaną bezowocne, ale muszę Waszą Ekscelencyą objaśnić, że we Francyi tak samo, jak i w Anglii, są ludzie zajmujący się specyalnie wynajdywaniem sukcesorów. Mam duże stosunki w Paryżu i mógłbym zapoznać Waszą Ekscelencyę z takim przedsiębiorcą.

— Byłbym panu bardzo wdzięczny.

— Muszę jednak uprzedzić Waszą Ekscelencyę, że tacy pośrednicy każą sobie płacić drogo.

— Mniejsza o to. Mam pieniędzy w bród i zapłacę, co tylko będzie potrzeba. Gotów jestem nawet zaliczyć z góry pewną sumę.

— W takim razie za kilka dni przyszlę Waszej Ekscelencyi człowieka, który za sutą nagrodą dokaże niewątpliwie tego, co nie udało się policyi angielskiej i adwokatom.

— Oby słowa pana były prorocze. Sądzę, że będę miał zaszczyt widywać pana częściej.

— Cały zaszczyt po mojej stronie, Ekscelencyo. Gdzie mogę złożyć jej moje uszanowanie?

— Mieszkam w Grand-Hôtelu... tymczasowo, bo chcę kupić dom, gdziebym się mógł urządzić wygodnie. Jeśliby się znalazła w okolicy Paryża jaka willa z ogrodem...

— Znam właśnie jedną, któraby się nadała dla Waszej Escelencyi. Zapytam właściciela, czy ją zechce sprzedać.

— Doprawdy, pan jesteś zbyt uprzejmy. Nie wiem jak panu dziękować.

Dalsze komplementy przerwała gospodyni domu, która posadziwszy przy zielonym stoliku swoich przyjaciół z Brazylii, podchodziła do nababa z uśmiechem.

— Ekscelencyo — rzekła — pan Tolbiac pozbawia nas zaszczytnego towarzystwa. Inni chcieliby z niego korzystać. Pozwoli Wasza Ekscelencya, że jej przedstawię moje przyjaciółki.

Zbytecznem chyba dodawać, że wszystkie razem i każda z osobna dołożyły starań, by nababowi było wesoło w ich towarzystwie.

Wiedziały, że ma miliony i że przyjachał, aby je sypać na prawo i lewo.

— Czy wasza książęca mość grywa w bakarat? — spytała gospodyni domu, po chwili ożywionej rozmowy.

— Znam tę grę, ale jej nie lubię.

— Więc może w landsknechta?

— Nie. Moją ulubioną grą... ale państwo będziecie się śmieli. Otóż moją ulubioną grą jest... *pasyans.*

Nikt się nie spodziewał takiej aluzyi do procesu kryminalnego, którym się zajmował cały Paryż.

Piękne koleżanki Arabelli spadły z wysokości swych nadziei. Przypuszczały bowiem, że nabab będzie trzymał bank i że nie zwróci uwagi na drobne oszustwa. Miss Disney była widocznie zmieszana.

Nabab spostrzegł to i dodał uprzejmie:

— Kładę pasyans, gdy jestem sam w moim pałacu w Bahur, ale teraz w tak miłem towarzystwie najchętniej zagram w to, co panie każą, a więc w bakarat.

— Właśnie talia się skończyła, Gustaw zgrał się do szczętu — odezwała się ładna blondynka, zwana Herminią.

— Jego Ekscelencya zechce zająć jego miejsce — rzekł Tolbiac. — I zbliżając się do Arabelli, szepnął jej kilka słów, których nabab nie mógł zrozumieć, bo były powiedziane po angielsku, zresztą odszedł do stolika z Herminią.

Ostatnie słowa, zamienione pomiędzy miss Disney a jej przyjacielem, były:

— Poznamy, czy jest bogaty, patrząc w jaki sposób będzie przegrywał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WOLA BOŻA.

(Z OPOWIADAŃ LUDU.)

Starzy ludzie powiadali,
Że już dawno — o, przed laty
W pięknym zamku nad Dunajem
Żył pan możny i bogaty.

Cały zamek złota pełen,
Koni sto na stajniach rżało —
Stu rycerzy na usługach
I pajuków też nie mało.

Możny pan był, pełen pychy
I nie wiedział co to trwoga
I nie prosił w życiu o nic
Ani ludzi, ani Boga.

Wola jego była prawem,
Wszyscy przed nią się korzyli
I gotowi byli rozkaz
Każdy spełniać w tejże chwili.

Dumny pan się chełpił z tego
I tak mawiał: „Z mojej woli
Żyją jedni ludzie w szczęściu,
Drudzy w nędzy i niedoli.“

Raz wyjechał pan bogaty,
By obejrzeć pola, lasy,
Na nieszczęście, w czasie drogi,
Pękło koło u kolasy.

Krzyknął groźnie pan na ludzi,
Rozgniewany koła stratą —
A wtem nadszedł kapłan stary,
Pan do niego: „Cóż ksiądz na to?“

— Wola Boża — przyjąć trzeba,
Gdyby dziś nie było tego,
To możeby — ksiądz odpowie —
Bóg dał jeszcze co gorszego.

— Co?! pan krzyknie, wola Boża?!
To ty jesz chleb z mojej roli,
A nie wiesz, że w mojem państwie
Prócz mej — nie ma innej woli?

Wiem, żeś mocen, lecz w tym względzie
Umysł twój okropnie błądzi,
Nie ty, — tobą, państwem, światem,
Zawsze wola Boża rządzi.

Zawrzał gniewem pan bogaty
I rzekł: „Dobrze mój kapłanie,
Kto tu rządzi w mojem państwie,
Będziesz miał wnet przekonanie.“

I wraz skinął na rycerzy;
Rozkaz pański wnet spełniono,
Pokornego sługę Boga
Do więzienia powleczono.

Różne męki i katusze
Ponieść musiał kapłan stary,
Lecz wciąż mawiał: „Wola Boża!“
I nie zląkł się żadnej kary.

Wreszcie rzekł pan do pajuków:
— Tam, gdzie koło pękło w lesie,
Skryć się — a gdy ksiądz nadejdzie,
Upartego zabijecie.

Poszli zbóje — a pan żegna
Księdza słowem: „Idź kapłanie
Na śmierć pewną!“
Kapłan na to:

— Wola Boża niech się stanie....
I zwraca się, by iść do dom,
Nagle upadł, złamał nogę
I rzekł: „Trudno, wola Boża,
Iść nie mogę w dalszą drogę.“

„Bóg najlepiej wie, co robi
I — gdyby nie było tego,
To możeby tam, gdzie w drodze,
Bóg dał jeszcze co gorszego.

— W drodze na cię śmierć czekała —
Szepnął księdzu pan zdumiony
I — by odbyć spowiedź świętą,
Na kolana padł skruszony.

Szczęsny Zahajkiewicz.

Wiatraki

I.

Historya Karola i Klary jest bardzo zwyczajną, „pojedyńczą“, jakby się wyraził Galicyanin. Żyli skromnie i uczciwie, kochali się z całego serca. On liczył lat trzydzieści pięć, ona trzydzieści. Mieszkali w Warszawie. Praca wypełniała im ciche i spokojne życie. On, marzący w latach młodzieńczych „o wzlotach nad poziomy“ dla chleba obniżył swe aspiracye i z artysty-malarza został rzemieślnikiem-dekoratorem, — ona, pragnąc dzielić z nim pracę i chleb powszedni, dawała lekcye francuzkiego, korzystając z dobrego akcentu, pozostałości świetnych czasów dzieciństwa.

Budżet ich, prowadzony ze ścisłą drobiazgowością, po zaspokojeniu potrzeb codziennych, dozwalał od czasu do czasu na pewne, nadetatowe przyjemności.

Któregoś dnia Klara, wlepiając oczy w błękit czerwcowego nieba, rzekła z westchnieniam:

— Ach! Gdyby się dało spędzić choćby parę dni na wsi, zdala od miejskiego pyłu i turkotu. Wyrzekłabym się chętnie na czas dłuższy wszelkich zbytków i rozrywek...

Karolowi projekt ten wydał się świetnym. I on oddawna tęsknił za szerszemi horyzontami. Dziecię wsi, artysta, wyrywał się nieraz myślą z dusznej atmosfery powszedniej — nie mówił nic, bo przywykł ulegać twardym koniecznościom życia.

Teraz jednak po ścisłem obliczeniu dochodu i rozchodu, po wykreśleniu spacerów wieczornych do kawiarni podmiejskiej i biletów do teatru w dni świąteczne, okazała się możność spędzenia jakich dwóch tygodni w górach Świętokrzyskich.

II.

Wybrali się tam w sierpniu, a radość ich i uciecha nie miały granic.

Godziny całe wpatrywali się w widoki malownicze i urozmaicone, z lubością napawali się powietrzem wonnem, a serca ich rozszerzały się miłością i błogiem zadowoleniem.

Niestety! Dni uciekały z błyskawiczną szybkością. Ani się spostrzegli, jak nadeszła niepożądana chwila powrotu. W przeddzień wyjazdu pobiegli pożegnać się z kwiecistą doliną, w której najdłużej i najchętniej przebywali.

Gdy zabierali się do powrotu, wzrok ich padł na młyn, położony romantycznie nad brzegami strumyka.

Z młyna wychodził człowiek w podeszłym wieku, nader sympatycznej powierzchowności.

— Niech będzie pochwalony — wyrzekł Karol.

— Na wieki wieków — odrzekł starzec.

— Do kogo należy ten młyn?

— To moja własność.

— A grunta okoliczne?

— Morga ziemi i ten oto kawałek lasu stanowi jedną posiadłość.

— Czy nie chcielibyście jej sprzedać?

— Hm! To zależy — odparł młynarz, mierząc wzrokiem przenikliwym podróżnych.

— Ile byście za to wszystko żądali?

— Ile? A ze dwa tysiące papierków.

— E, i za tysiąc byście odstąpili.

— O nie, mój panie. Co to to nie... Chyba za 1,500. To już moja ostatnia cena. — I wszedł do młyna, zatrzasnął drzwi za sobą, jakby dla silniejszego zaakcentowania, że to jego ostatnie słowo.

Widząc jednak, że podróżni oddalają się, pobiegł za nimi i powiedział:

— W każdym razie proszę mi zostawić adres państwa. Ja nie z tych stron i tęskno mi za moimi. Może i zdecyduję się sprzedać za 1,200, choć to byłoby za bezcen, za bezcen. I mieszkanie by państwo mieli i kawał gruntu, i piękny dochodzik... To tak, jakbyście wygrali na loteryi.

Karol pozostawił swój adres i szedł dalej w milczeniu.

Kiedy młynarz oddalił się od nich, Klara rzekła ze śmiechem:

— Oszalałeś chyba, Karolu!

— A to dlaczego?

— Ty chcesz nabyć ten młyn. Ty?

— A tak, ja... ja... w własnej osobie.

— A pieniądze?

— Będziemy je mieli. Zapracujemy. Zobaczysz, przekonasz się. Trzeba mieć tylko cel przed sobą. Będziemy pracowali dzień i noc. Za cztery lata będziemy posiadać nasz młyn... Za cztery lata, a może i za trzy. Najpierw wydzierżawimy go... A później, później przeniesiemy się na wieś i zostaniemy młynarzami. I będziemy rozkoszować się naszemi górami codziennie, od rana do wieczora... Ach jakże będziemy szczęśliwi! Pocałuj mnie pani młynarzowo!

Karol objął żonę z giestem tryumfalnym, którym zarazem zdawał się obejmować całe pasmo gór Świętokrzyskich

III.

Powrócili do miasta i rozpoczęli pracę z zapałem. Dla urzeczywistnienia pięknego marzenia oszczędzali na wszystkiem: na mieszkaniu, pożywieniu, ubraniu. Starali się gwałtownie o roboty dodatkowe. Klara przepisywała role, Karol noce całe ślęczał nad rysunkami technicznemi.

W ten sposób udało im się odkładać po 20 rs. miesięcznie.

Po upływie pierwszego roku Karol rzekł wesoło do żony:

— Oto pierwszy wiatrak, naszego młyna, szanowna pani młynarzowo.

I oboje zaintonowali:

„W górę, w górę, miły bracie!“

Rok drugi zeszedł im również na gorączkowej pracy. Chwilami, gdy pióro lub ołówek wypadały ze znużonej dłoni, krzepili się widokiem fotografii ukochanych gór, które wciąż mieli przed oczyma... Fotografiami temi szczycili się przed kolegami, objaśniali im szczegółowo a nawet zapraszali ich do siebie na wakacye.

Było to istotnie opętanie, chorobliwe może, ale wzruszające.

— Oto drugi wiatrak, szanowna pani młynarzowo — mówił Karol uroczyście w końcu drugiego roku, ukazując nowy zwitek papieru.

Oboje wychudli, on się cokolwiek przygarbił, ona pokaszliwała i chwilami coś ją kłuło pod sercem. Ale pomimo to nieustawali w pracy, zapatrzeni w cel rozkoszy, jak gdyby zahypnotyzowani żądzą posiadania upragnionej własności. Im bardziej zbliżali się do wymarzonej chwili, tem gwałtowniejsza opanowywała ich gorączka. Tkliwość, jaką rodzice miewają dla dzieci, przenosiła bezdzietna para na ów kawał ziemi, który miał być osłodą ich starości. Wszystkie ich myśli, wszystkie sny biegły ku ukochanym górom. Święta całe schodziły im na najróżnorodniejszych projektach. Tam miał być trawnik kwiecisty, tu altana; sprzeczali się o wybór roślin umieszczonych przed domkiem, o jarzyny i warzywa, jakie sadzić będą w swej posiadłości...

IV.

Gdy trzeci wiatrak pod postacią banknotów spoczął w szufladzie, Klara silnie zaniemogła. Wezwany lekarz polecił spokój i wypoczynek absolutny. Na poufne zapytanie Karola odpowiedział jednem tylko słowem:

— Suchoty.

Nieszczęśliwemu krew uderzyła do głowy.

— Ach, jakiż ze mnie nędznik! — zawołał. — Ja to jestem przyczyną wszystkiego złego. Źle ją odżywiałem, pozwoliłem zapracować się na śmierć... Pan Bóg mnie karze.

Zdawało mu się, że postrada zmysły... Ona miałaby umrzeć! Ukochana jego towarzyszka — przyszła właścicielka ziemi i młyna!

— Nie obawiaj się, najdroższa — powrócimy ci zdrowie choćby kosztem młyna...

I postanowił wysłać ją natychmiast do Zakopanego, umieścić w zakładzie pod opieką najlepszego lekarza, zalecić forsowne odżywianie. Ach! Wiatraki młyna pójdą na to wszystko po kolei... Ale mniejsza o to. Zdrowie przedewszystkiem.

Klara odmówiła z początku. Nie chciała „roztrwonić pieniędzy“ zdobytych tak ciężką pracą. Wyleczyć się można i w Warszawie w pokoju zacisznym i ciepłym.

Mówiła głosem słabym, ściskając rozgorączkowaną dłonią rękę męża i zamykała oczy dla ukrycia pod powiekami łez beznadziejnej rozpaczy.

Ale Karol ani chciał słyszeć o tem. Zawiózł ją sam do Zakopanego, umieścił pod troskliwą opieką, błagając, aby się szanowała.

Przez całą zimę regularnie przychodziły listy donoszące o poprawie zdrowia Klary. Karol wraz z serdecznemi poleceniami nadsyłał pieniądze odbierane z banku... Setki szły za setkami... Gdyby nie choroba żony, już, już byliby u celu... Ale teraz grzech o tem myśleć.

V.

W końcu maja Karol otrzymał telegram.

— Przybywaj prędko. Zabierz wszystkie pieniądze...

Pobladł z przerażenia. Co miały znaczyc te słowa? Wyjechał bezzwłocznie.

Na drodze około kościoła oczekiwała go żona. Boże! Jakże była wychudła i przygarbiona.

Zapłakał przyciskając ją do piersi.

— Ach Klaro, oszukałaś mnie. Wcale ci nie lepiej.

— Ależ przeciwnie... Lepiej mi. Zapewniam cię... Nie jestem silną, nie utyłam... Ale to wszystko przyjdzie — teraz. Ach Karolu! Ty nie wiesz, on do nas już należy.

— Co takiego? Co do nas należy?

— Nasz młyn ukochany.

— Jakto?

— Masz. Oto są pieniądze, wszystkie pieniądze jakie mi posłałeś.. A tu oto pieniądze, które zarobiłam — dodała, wyjmując z torebki 200 rs. To była niespodzianka dla ciebie Karolu... Zaraz ci to wszystko wytłomaczę.. Ja nie mieszkałam na pensyi, na której mnie zostawiłeś... Wcale mnie tam nie było dobrze... Przeniosłam się do jednej chorej pani, która poszukiwała *garde-malade*, a raczej — poprawiła się — towarzyszki...

I tam nie tylko, że nie straciłam naszych trzech wiatraków, ale zarobiłam na część czwartego. Mogłabym mieć więcej, gdybym dawała lekcye francuzkiego... Ale jakoś się nie składało... Ale i tak mamy nasz młyn... No! Uściskaj mnie za to mocno... bardzo mocno.

I słaniając się na pierś jego, zemdlała.

— Nieszczęśliwa, zabiłaś się... — zawołał Karol unosząc ją jak piórko w swe ramiona.

Umieścił ją w powozie, zawiózł do doktora. Klara powróciła do przytomności, ale zaledwie mogła się utrzymać na nogach. Teraz dopiero odczuła całą grozę swego położenia.

— To tak już źle ze mną? — zapytała.

Pomimo to, zapragnęła wyjechać jaknajprędzej i dostać się w góry Świętokrzyskie. Lekarze, nie widząc ratunku, radzili nie sprzeciwiać się w niczem chorej...

Z nadludzkim wysiłkiem dotarła do celu podróży. Młynarz, z którym porozumiewali się listownie, oczekiwał ich — akt kupna sporządzono rejentalnie.

— Teraz umrę spokojnie — szepnęła Klara. — A ty Karolu nie rozpaczaj.. I tak nie żyłabym wiele dłużej.. Suchoty, to choroba nieuleczalna zapewne... Nie płacz... Błagam... Spojrzyj na te góry... Jakie one piękne... Otwórz okno... Tu mnie pochowasz, gdzie niedaleko... I wspomnisz mnie czasem?... Nieprawdaż?...

To mówiąc wydała otatnie tchnienie zapatrzona w góry ukochane, które spoglądały obojętnie na ofiarę, na ich ołtarzu złożoną.

Ora.

KULIG.

Skrzy się, śnieży step w brylantach,
Rozciągniony w dal,
Sunie kulig strojnie, hucznie
Wśród śnieżystych fal.
Gwar wesela
W grzmot wystrzela
Przy odgłosie ech,
W nieskończoną
Dal omgloną
Płynie pieśń i śmiech.

Za parami suną pary;
Złoto, czerwień lśni;
Arlekiny i maszkary
Zapomnianych dni.
Grzmią wystrzały,
Aż step cały
Odzywa się wraz,
Brzmi piosenka
W takt bębenka:
„— A witajcie nas!“

Świeci miesiąc, gwiazdy — zorze
Z tajemniczych sfer...
Śnieg, jak fale, step, jak morze.
Biją w szum i w szmer.
We sto koni
Kulig goni,
Wije się, jak sznur...
W oddaleniu,
W mgły odzieniu
Widać stary dwór.

„— Hej! rozszerzaj gospodarzu,
Kąty swoich ścian —
Skrzypiciele z nami jadą,
Z nimi jedzie — tan!“
Drgnie pobudki
Okrzyk krótki —
I Mazury w lot,
Jak rzek fale
Po przez sale
Pomkną w barwny splot...“

Grzmią już pieśni strun pieszczotą,
Szumi dom, jak ul —
Mija czerwień, bławat, złoto,
Rycerz, paź i król...
W mazurowy
Rytm miarowy

Sunie się sto par —
Bez pamięci
Tan się kręci
Przy pobrzęku czar.

Sunie barwny pas bez końca,
Utula się w mgły —
Gasną gwiazdy, tęcze, słońca,
Ziemia cicho drży.
Jak z za świata
Szmer dolata,
Okrzyk — pieśń i śmiech —
Ledwo w ciszy
Ucho słyszy
Odgłos smętnych ech.

Kazimierz Gliński.

Kronika.

Europa w żałobie, bo „babka Europy" — królowa Wiktorya umarła — podobno do skonu przyczynił się niefortunny zwrot w wojnie Transwaalskiej. Królowa się gryzła tem, że za mało miała władzy, aby zapobiedz tej wojnie, która Anglii tak mało chluby przynosi.

Mówiąc o Transwaalu mimowoli przypominają się nasze stosunki. Tak tu, jak tam, toczą się ciężkie zapasy — w Transwaalu krwawe, u nas bezkrwawe, ale bodaj czy nie uciążliwsze, czy nie *trudniejsze.* W takich krwawych zapasach gniew, wściekłość, oburzenie, nienawiść znajduje wolne pole odpływu, a w tych naszych z przemożnym wrogiem zapasach, trzeba pięść w kułak ściśniętą chować do kieszeni, trzeba hamować gniew, trzeba ukrywać się z tem, co dusza czuje, nie z obawy przed karą, lecz w poczuciu, że niewczesne wybuchy gniewu szkodzić mogą ogółowi. *Słowem trzeba się samemu zwyciężać, a to bodaj najtrudniejsze zwycięztwo.*

Burowie walczą o każdą piędź ziemi, a my o każdy strzępek pozostałych nam praw i walczymy z dumnie podniesionem czołem bez chwili zwątpienia, przekonani, że jednak zwyciężamy.

Więc wierzymy święcie, że ten orzeł biały, spędzony z pola przez czarne orły jedno i dwugłowe, bezpieczne sobie obrał siedlisko w sercach naszych, że nikt i nic go ztamtąd nie wyrzuci i że wreszcie stamtąd wyleci i pobuja nad rodzinnem błoniem, ku przerażeniu całej zgrai hakatystycznej.

Zgryzoty przyspieszyły koniec królowej Wiktoryi, a jednak ona, skrępowana konstytucyą, nie mogła wpłynąć decydująco na bieg wypadków w Afryce, nie mogła założyć stanowczego veto przeciwko rozlewowi krwi, przeciwko dręczeniu niewinnego narodu. A jakąż śmierć będą mieli ci, co mogą, a nie chcą, położyć koniec prześladowaniom naszym?

Wiadomem jest, że Bismarck miał ciężką śmierć, może w chwili zgonu stanęły mu przed oczyma blade widma ofiar wojen austryackiej i francuzkiej, a może dochodziły go w chwili zgonu złorzeczenia 40,000 Polaków, wygnanych bez przyczyny z granic monarchii pruskiej.

I ztąd jaka nauka? Oto, że Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy, i że nie prędzej, to później, że nie w ten, to w inny sposób wymierzy sprawiedliwość tym, którzy nieprawości cierpią i im niezapobiegają.

A dla nas ztąd jaka nauka?

Oto pracujmy szczerze, bądźmy prawymi i sprawiedliwymi, a w przyszłości nagroda nas nie minie.

Dnia 3 lutego odbędzie się nowy wiec w Głównie, w sprawie nauki języka polskiego. Odbył się jak wiadomo już cały szereg takich wieców, a doprawdy ich nie za wiele dla pobudzenia ospałych i opieszałych.

Dużo nam Pan Bóg dał zalet, lecz odmówił wytrwałości, to też ciągle trzeba przypominać i nawoływać do spełniania obowiązku, do uczenia dziatwy polskiej języka polskiego.

Dowiaduję się, że wyszło, czy też wyjdzie sprawozdanie kasowe roczne z rozsprzedaży kart zastępujących telegramy. Zebrano ogółem w tym roku 678 mk. 95 fenygów. Suma ta wprawdzie nie wielka, lecz na jej zebranie potrzeba było rozprzedać blizko 3000 takich kart zastępujących telegramy. 3000 znowu to nie wielka liczba wobec tysięcy gratulacyi wysyłanych na rozmaite uroczystości telegraficznie. Ale w stosunku do naszej opieszałości rezultat przez inicyatorkę osiągnięty i tak dość znaczny.

Gdyby wszyscy chcieli uznać pożyteczność tych telegramów, możnaby do roku zebrać kilka tysięcy marek, któremi wesprzeć możnaby znacznie nasze instytucye, ponieważ wiadomo, że panie, zajmujące się rozsprzedażą kart, cały czysty dochód rozdają pomiędzy instytucye pożytek przynoszące.

Nawet prosty kupiecki rachunek przemawia za używaniem tych kart, zastępujących telegramy. Telegram taki wraz z porto kosztuje 30 fenygów, poczta dostaje z tego tylko 5 fenygów, a reszta idzie na instytucye dobroczynne i narodowe, telegram zaś rzeczywisty kosztuje w mieście 40 fenygów i poczta bierze wszystko. Na wsi sprawa ta jeszcze niekorzystniej się przedstawia. Życzenia wysłane telegraficznie kosztują wraz z opłaceniem posłańca 1. mk., karta gratulacyjna, zastępująca telegram kosztuje tylko 35 fenygów — z tego poczta bierze tylko 10 fenygów. Pożytek jest tak jasny, że każdy go zrozumie. Pisma codzienne ogłaszają od czasu do czasu zkąd takich kart nabywać można.

Acer.

Z teatru.

„Nasi poczciwi wieśniacy", komedya w 5 akt. przez Wiktoryna Sardou.

Wiktoryn Sardou należy niewątpliwie do najśmielszych i najdowcipniejszych komedyopisarzy francuzkich nowszych czasów — to też komedye jego cieszą się zawsze wielkiem powodzeniem. Dyrekcya naszego teatru wznowiła w sobotę i niedzielę jednę ze starszych komedyi Sardou, bo komedya „Nos bons villageois" — „Nasi poczciwi wieśniacy" — napisaną już była roku 1866.

Komedya, wyżej wymieniona, ma wszystkie wybitne zalety zręcznego komedyopisarza, zaliczam też tę komedyą do lepszych przez Sardou napisanych. Jeżeli jest w niej tendencya to ta, że Sardou biczuje satyrycznie ciasnotę umysłową małomieszczanina francuskiego, jego małostkowe zadrości i jego zacofanie. Oprócz tego stworzył autor interesującą akcyę, potęgowaną zręczną intrygą, ożywioną wybornie narysowanemi typami i tym sposobem zyskuje sukces znaczny. Fabuła sztuki w krótkości tak się przedstawia.

Merem wioski, jest baron (p. Ryger), ożeniony z znacznie młodszą, od siebie kobietą, Pauliną (p. Wysocka). Paulina bawiła u wód z siostrą swą młodszą Genowefą (panna Łącka) i poznała tam Henryka Morysson (p. Wysocki), lekkoducha, Paryżanina. Henryk prześladuje Paulinę swą miłością, ta chcąc ujść prześladowań wyjeżdża z wód. W czasie zabiegów Henryka o Paulinę zdołał Henryk obudzić głębsze uczucie w Genowefie. — Paulina powróciła do męża, lecz Henryk i tu ją prześladuje, wdzierając się do parku, otaczającego dom mera. Henryk, odprawiony przez Paulinę, spotyka się z Genowefą. Po krótkiej rozmowie dowiaduje się Genowefa, że Henryk jest synem pana Moryssona, poczciwca, który sprowadził się do wioski z Paryża, aby tu wypocząć. Genowefa zachęca Henryka do zabiegów o jej rękę i daje mu klucz od furtki wiodącej do parku. Lecz mer ma we wsi dużo przeciwników. Partya opozycyjna, na czele której stoją pp. Floupin, aptekarz (pan Czerniak), Grinchu, ogrodnik (p. Berski), Teillard, kupiec (p. Szczurkiewicz) zmawiają się przeciw merowi, ponieważ im się niepodoba, że mer proteguje Paryżan. Mają też niebezpieczną broń w ręku przeciw merowi, bo Grinchu naszedł był Henryka w chwili, gdy odprawiony przez Paulinę z parku się wykradał. Grinchu znalazł nawet kapelusz Henryka. „Poczciwi wieśniacy" wnioskują, że Paulina ma kochanka i postanawiają wywołać skandal, aby tym sposobem mera zmusić do ustąpienia. Następcą ma być Floupin. Przed wywołaniem owego skandalu jednakże udaje się Floupin do mera z propozycyą, aby się podał do dymisyi. Jest to jedna z najzabawniejszych scen komedyi, świetnie odegrana przez pana Rygera, któremu dzielnie sekundował p. Czerniak. Mer potrafił wystrychnąć spiskowców na dudków — a ci, gorzejąc chęcią zemsty, pilnie szpiegują około pałacu mera, aby pochwycić kochanka Pauliny. Przypadek im sprzyja. Henryk zakrada się do parku i pałacu, mając klucz od furtki do parku — aby widzieć się z Pauliną, lecz w miejsce jej spotyka Genowefę. W bardzo dobrze napisanej scenie młode serca się porozumiewają. Henryk odchodzi, a Genowefa idzie na bal, na którym jest także mer. Lecz mer powraca i spotyka się z żoną, powracającą z parku. W tej chwili dochodzą z ogrodu hałasy — Paulina drży, przeczuwa, że to Henryka gonią. Mer idzie do parku, w nieobecności jego wbiega Henryk i wyznaje przerażonej Paulinie, że uciec nie może, bo park jest otoczony. Nie ma ratunku. Paulina jest skompromitowaną.

Wtedy Henryk zdobywa się na heroiczne postanowienie: Wyda się on za złodzieja. Mer wbiega do pałacu, chwyta Henryka i dowód kradzieży, brylanty Pauliny w ręku Henryka. Śledztwo — wątpliwości mera — spotkanie Henryka ze starym Moryssonem, który przychodzi uskarżać się przed merem na dokuczania ze strony wieśniaków. Wreszcie mer jest przekonany, że Henryk jest kochankiem Pauliny. Radość po stronie intrygantów, lecz w chwili najwyższego napięcia — mer ma odbyć z Henrykiem amerykański pojedynek — zjawia się Genowefa. Nie wie ona o tem, co zaszło i uradowana opowiada merowi, że Henryk jest jej narzeczonym. Mer teraz przekonany o niewinności żony. Wtem pada strzał. Obawa, czy Henryk życia sobie nie odebrał, zwiększona listem — ale wszystko kończy się dobrze. To tylko pistolet puścił. — Intryganci doznają rozczarowania widząc Henryka jako narzeczonego Genowefy. — Zasłona spada.

Powodów do sensacyi dużo, napięcie nerwów znaczne, efekta niewyszukane, lecz oddziałujące, akcya żywa, rozmaitość typów wielka, a przytem wyborna gra artystów. Podnoszę tu grę p. Rygera, który się prócz tego świetnie ucharakteryzował. Przypominał mi w akcie III żywo p. Korwina Piotrowskiego, prezydenta jednego z średnich miast Królestwa Polskiego.

Pani Wysocka, jak zwykle, z roli swojej wywiązała się bardzo dobrze. Scena z mężem w akcie V odegrana była znakomicie. Utalentowanej tej artystce uśmiecha się wielka przyszłość.

Znakomitym był Floupin p. Czernia-ka i Grinchu p. Berskiego. Zadowolili też zupełnie pp. Jakubowski, Szczurkiewicz i Wysocki. Panna Łącka grała z wielką szczerością. Oklasków było dużo. Cała reprezentacya była, jak na nasze stosunki, staranną. *Widz.*

Jeszcze można zapisać
„PRACĘ“
na miesiące luty i marzec.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na luty i marzec

tylko 84 fenygi.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie w Niemczech niezwłocznie

tylko 84 fenygi,

na poczcie w Galicyi **tylko 95 halerzy**, a dostawać będzie pismo nasze do końca kwartału w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest teraz na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: Abtheilung II t. poln. Nr. 103.

Premia.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, więc *bezpłatnie*

ładną książkę historyczną z illustracyami

Nadzwyczajna premia.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna dwóch nowych abonentów i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premią **dwie piękne powieści historyczne oraz piękne obrazy historyczne.**

Premie otrzymają tylko ci abonenci, którzy pozyskali innych nowych abonentów, ci zaś abonenci, którzy zapisali tylko sobie „Pracę“, nie mają prawa do premii.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Jeszcze można zapisać
„Czytelnię Polską“
na bieżący kwartał

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 14.“

Baczność! Początek powieści p. t. „Krwawe ofiary“ otrzymają tylko ci nowi abonenci, którzy nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy pocztowy i na porto znaczek listowy, dwudziestofenygowy.

Tylko pod tym warunkiem wysyłać będziemy nowym abonentom początek powieści.

Baczność! **Kwity abonamentowe pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ zamieszczone są przed inseratami.**

Wiadomości.

Z powodu nawału materyału odłożyć musieliśmy sprawozdanie z wieca pocztowego, odbytego w Poznaniu, dnia 27-go z. m. — do następnego numeru.

Uchwała wieca pocztowego co do biura informacyjnego itd. w ten sposób znajduje załatwienie, że jak dotąd tak i nadal wszystkie redakcye będą biurami informacyjnemi, a tak z nich jak i od publiczności gromadzić się będzie materyał dowodowy w centralnem biurze u p. Stefana Chociszewskiego (handel cygar Wrocławska ul. nr. 28) zkąd przesłanym zostanie Kołu polskiemu w parlamencie. Komitet.

Wieczory ćwiczebne „Sokołów“ na miesiąc styczeń r. b., skreślone przez naczelnika „Sokołów“ w państwie niemieckiem, oraz naczelnika „Sokoła“ poznańskiego, p. W. Gładysza, zamieszczamy w dzisiejszym numerze jako osobny dodatek. Wieczory ćwiczebne zamieszczać będziemy w „Pracy“ odtąd co miesiąc.

Benefis pani Wysockiej. W przyszłym tygodniu na benefis bohaterki naszej sceny, p. Wysockiej, odegrany będzie piękny dramat słynnego włoskiego dramaturga Giacossy: „Jak liście.“ Sztuka ta cieszyła się ogromnem powodzeniem na scenach berlińskiej, paryzkiej i wiedeńskiej, W Warszawie prawie że nie schodzi z repertuaru. Nie wątpimy, że publiczność nasza tłumnie pospieszy do teatru dla zobaczenia tego pięknego dramatu, oddając zarazem słuszny hołd talentowi i pracy tej sympatycznej artystki, której każde pojawienie się na scenie sprawia prawdziwą przyjemność wielbicielom sztuki dramatycznej.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu: pp. Ł. M., wielbiciel i wierny Czytelnik „Pracy“ 1 mrk. 70 fen. w znaczkach pocztowych, Nowakowski z Poznania 1 m. 50 fen., Paweł Kawarski z Hochheide 2 m.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 371 mrk. 60 fen. Dalsze składki chętnie przyjmujemy.

Na Czytelnie ludowe nadesłał p. N. N. z Witkowa 10 m.

Dalsze sładki chętnie przyjmujemy.

Prawie w każdem niemieckiem piśmie czytać możemy o okropnem rozwoju przemysłu polskiego, co w rzeczywistości bardzo przesadzone, lecz tak daleko, jak oni piszą, doprowadzić starać się powinniśmy. Mamy wprawdzie kilka fabryk maszyn, destylacyi i jednę fabrykę mydeł, to jest w Gnieźnie p. **St. Żychlińskiego.** Jest to pierwsze polskie przedsiębiorstwo tego rodzaju, które pomimo licznej obcej konkurencyi zjednało już sobie renomę i zaufanie licznych kupców w Księztwie i Prusach. Panom kupcom, którzy do dziś jeszcze u p. St. Zychlińskiego nie kupują, przypominamy wspomnianą firmę, a początek roku do zawiązania nowych związków kupieckich bardzo się nadaje. Pamiętajmy, że każdy grosz, który obcemu zarobić damy, dla nas zginiony. Wyroby p. St. Zychlinskiego odznaczono w ostatnim czasie złotym medalem i to na wystawie w Krakowie.

Slub. Dnia 22-go z. m. pobłogosławiony został w Poznaniu związek małżeński pomiędzy p. Nikodemem Buszą, kupcem z Borku, a panną Stanisławą Ostrowską, córką państwa Ostrowskich z Poznania.

Aktu ślubnego dokonał X. prob. Kostencki od Bożego Ciała w asystencyi X. kleryka Krzewińskiego, kuzyna młodego pana, poczem pp. Ostrowscy przyjmowali gości w swym domu, gdzie się ochoczo i wesoło bawiono do samego rana.

Młodej parze szczęść Boże!

RUCH W TOWARZYSTWACH.

Poznań, (Sw. Łazarz). Towarzystwo Przemysłowców urządza w sobotę d. 2-go lutego na sali p. Jana Waltera, Głogowska ulica 80/81, teatr amatorski. Odegrane będą: „Piosnka wujaszka“ i „Łobzowianie.“ Początek o godz. 8½ wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Tarnówko. W niedzielę dnia 3-go lutego r. b. odbędzie się tutaj teatr amatorski na sali p. Zaufta. Odegrane będą: „Ulicznik warszawski“ oraz „Słowiczek.“ Zakończy żywy obraz. Dochód przeznaczony na cel dobroczynny. Początek o godz. 6½ wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

Kobylin. Tutejsze Towarzystwo przemysłowe urządza w niedzielę dnia 3 go lutego w mieście naszem na sali ratuszowej przedstawienie amatorskie. Odegrane będą: „Szlachta czynszowa“, oraz „Prawica i lewica.“ Początek przedstawienia o godz. 7½ wieczorem. Po przedstawieniu zabawa.

Gostyń. Tow. gimn. „Sokół“ w Gostyniu urządza w niedzielę, dnia 3-go lutego r. b. w strzelnicy teatr amatorski. Odegranem będzie: „Zagłoba swatem“ (p. H. Sienkiewicza). Ćwiczenia: laskami, maczugami, na przyrządach i piramidy. Bliższych wiadomości udzielą afisze. Po przedstawieniu zabawa.

O liczny udział uprasza Wydział.

Pleszew. Towarzystwo Młodzieży polsko-katolickiej w Pleszewie urządza w niedzielę, dnia 3-go lutego, na sali p. Lewandowskiego pierwszą rocznicę swego założenia. Program bardzo urozmaicony. Początek o godz. 7-ej wieczorem. Wstęp na salą (nie ograniczając dobroczynności) 25 fen. dzieci 10 fen. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. Wstęp dla panów 1 m.

O jaknajliczniejszy udział uprasza Zarząd.

Wolsztyn. Tutejsze Towarzystwo przemysłowe urządza obchód jubileuszowy ku uczczeniu Henryka Sienkiewicza w mieście naszem dnia 10-go b. m. na sali hotelu „Victoria.“ Program obchodu bardzo obfity w doborową treść i urozmaicony. Początek o godz. 7½ wieczorem.. Dochód przeznaczony na cel dobroczynny Po obchodzie odbędzie się zabawa z tańcami.

Od Redakcyi.

Pomiędzy listami, jakie otrzymaliśmy od naszych Czytelników na obczyźnie, chcących nam dostarczyć informacyi o stosunkach na wychodźtwie, *nie dostaliśmy ani jednego listu od kobiet, ani od towarzystw kobiecych.*

Ponieważ nasze informacye o położeniu naszych wychodźców mają w równej mierze dotyczyć i kobiet Polek na obczyźnie, prosimy zatem nasze Czytelniczki na obczyźnie, aby napisały nam korespondencyę lub przynajmniej podały swój adres, a my się już do nich z listownemi zapytaniami zwrócimy. Nadmieniamy, że jednakowo nam są pożądane listy od służących Polek z obczyzny, jak i od robotnic fabrycznych, lub panien sklepowych.

Dudziarz. O ile sobie przypominamy, w tym czasie żadnych listów z Mosiny nie otrzymaliśmy.

P. Buk. Korespondencyą w ostatniej chwili wycofaliśmy z numeru. Prosimy o inną korespondencyą.

Panu Tadeuszowi K. w Kolonii. Zamieścimy w następnym numerze — dziękujemy najserdeczniej i prosimy o łaskawą pamięć na przyszłość.

Antoni Wicher, Styrum. Dr. Rakowski, Lwów, Pełczyńska Nr. 1. prosi Pana o podanie adresu swego.

F. Wawrzyn Nowak. Szczęść Boże patryotycznej młodzieży rzemieślniczej polskiej na obczyźnie. A piszcie, prosimy!

Panu Wiktorowi Margowskiemu serdeczne życzenia zasyłamy a prosimy, aby w swoich stronach „Pracę“ rozszerzał. Gdzie młodość, tam siła i przyszłość! Więc werbujcie nam młodych!

P. Marcin Klota. Boli nas to bardziej, niż wszystkie procesy, jeśli na uczciwą pracę ku podniesieniu rodaków na obczyźnie rzuca kamieniem rodak, jak to uczyniła „Gazeta Toruńska“ z dr. Rakowskim, który od trzech miesięcy ręce sobie upisuje, aby korespondować z rodakami na obczyźnie i zbierać od nich informacye. Ale przecież choć najsilniejsza wola to złamać się może przez to, tak jak i pociąg siłą pary dążący naprzód może się wykoleić, jeśli byle dudek podłoży kamień na szyny.

P. Piotr Biel. Dziękujemy. Niech Pan zrobi początek i wystara się o abonenta. Słowa życzliwe nas bardzo uradowały. Po „Rzeź“ niech się Pan zgłosi do księgarni p. Rzepeckiej, W. Piekary, Poznań.

Panu St. A. D. w Sowinie. — Numeru z życzoną humorystyką już nie posiadamy. Sztuczki teatralne nabyć Pan możesz w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.

Pani Kamili G. we Lwowie. — Najuprzejmiej dziękujemy za odbiór i prosimy o łaskawe przysłanie typów i t. d., za co będziemy serdecznie wdzięczni.

Towarzystwu Młodych Przemysłowców w Inowrocławiu. — Notatka doszła nas za późno już po wydrukowaniu numeru 3 go na dzień 20-go stycznia.

P. Dywicki — Swiecie. — Zamówienia na zaległe numera „Pracy“ nie odebraliśmy. Prosimy takowe raz jeszcze nadesłać, a numera o ile są jeszcze w zapasie nadeślemy.

P. Skibicki — Londyn, Anglia. — Czy pismo litewskie „Sawli“ wogóle wychodzi, nie wiemy. „Czytelnię Polską“ wysłaliśmy Panu, oraz p. Koleśnikowi. — Załączyliśmy także cennik książek.

P. J. Pawłowski Mysłowice. — „Straż św. Józefa“ wychodzi raz w miesiąc jako dodatek do „Przewodnika katolickiego.“ — Osobno „Straży św. Józefa“ abonować nie można, tylko razem z „Przewodnikiem“, który kosztuje kwartalnie 50 fen.

Panu Franciszkowi Radeckiemu Alstaden. — To rzecz Pana, aby się w tej sprawie umówić ze swymi abonentami. Naturalnie, że poczta dostaje za przyniesienie do domu gazet osobne wynagrodzenie.

Panu Józefowi Bukowskiemu w Żninie. — Notatka doszła nas za późno już po wydrukowaniu numeru 3 go na dzień 20-go stycznia. Na przyszłość prosimy o wcześniejsze nadesłanie notatki.

M. K. Postl. Miłosław. 100 wizytówek kosztuje 2,00 Mrk. Prosimy o przesłanie pieniędzy.

Panu Tomaszowi Kozielskiemu w Gdańsku. Bliższych informacyi udzieli Panu w tej sprawie p. Marweg w Ostrzeszowie. O rysunek prosimy.

Panu Janowi Wł. S. w Fr. Dziękujemy najuprzejmiej, zużytkujemy.

Panu Romanowi K. w Niem. Przysiece Chętnie Pana poinformuje p. Tadeusz Sniegocki w Poznaniu, ulica Rycerska 38.

K. S. Września. Otrzymaliśmy i dziękujemy; materyał zużytkujemy, o dyskrecyą bądź Pan pewien; list natychmiast zniszczyliśmy.

Panów Wojciecha Koczorowskiego w Kuczkowie pod Żninem, Jana Przybyszewskiego w Chełmży, W. Olejniczaka w Srodzie, prosimy o nadesłanie kwitów pocztowych i 20 fen., a prześlemy początek powieści p. t. „Krwawe ofiary“ za zwrotem kwitów pocztowych.

Panu M. Ch. w Prądniku czerwonym (Galicya). Owszem, prosimy bardzo o artykulik treściwy, nie długi o tamtejszych stosunkach.

Panu A. Niklewskiemu w Gogolewie. Numer ten już wyczerpany zupełnie.

Panu Józefowi Bisodze w Dreźnie. Książeczki te nabyć Pan możesz w Księgarni Katolickiej w Poznaniu, Stary Rynek.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Nasze nadzieje. Młody lekarz: Powinszuj mi, idę do pierwszego pacyenta.

Młody prawnik: Kolego, idę z tobą, może zechce od razu napisać testament.

Prosimy odciąć.

Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem tylko 0,84 mk. oddać na poczcie.

Unterzeichneter bestellt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für die Monate Februar u. März die in Posen ercheinende Wochenschrift

„PRACA“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 103 der Zeitungspreisliste)
für 0,84 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,84 Mark erhalten zu haben bescheinigt

.............................., *den* ....

Kaiserl. Post ....

Powyższą kartkę prosimy odciąć i z dołączeniem 60 fenyg. posłać na pocztę.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das beg. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

CZYTELNIA POLSKA

Abtheilung II t. poln. 14.
für 60 Pfennige.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,60 Mark erhalten zu haben bescheinigt

.............................., *den* ....

Kaiserl. Post ....



Zakład graficzny Antoniego Fiedlera

Poznań, ul. Berlińska 16.

wykonuje

klisze drukarskie

wszelkiego rodzaju podług rysunków, fotografii i obrazów do dzieł illustrowanych, pism, cenników i anonsów.

Karty korespondencyjne z widokami.

Na żądanie wysyłam próby illustracyi, wykonanych w moim zakładzie. 32

Wozy robocze i koła do wozów

ma zawsze w zapasie i odstawia takowe tylko z suchego drzewa, dobrze odrobione i po umiark. cenie

Głogowska parowa fabryka stelmachska.

Bredner i Okoniewski,

dawniej R. Kraus. 610

Farbiernia i chemiczna pralnia Gustawa Schaera

w Poznaniu.

Fabryka Poznań W. 6, ul. Forteczna 39.

Skład św. Marcin 14.

poleca się do chemicznego czyszczenia i farbowania wszelkiej odzieży prutej lub też w całości, oraz do prania pluszów, aksamitów i piór, portyer i t. d. 558

Najtańsze

Książki dla dziatwy z kolorowemi obrazkami i udatnemi wierszykami, w pięknych barwnych okładkach: **Po 10 f.** Bazar, Czary, Dziwy, Dźwięki, Koncert, Panorama, Róg obfitości, Szczebiotki. Marsz*, Pląsy*. **Po 25 f.** Baczność, Bławatek, Czołem, Dobosz, Fiołki, Hop, hop! Kalejdoskop. Kołysanka, Niezabudka, Pierwiosnek, Różyczki, Śnieżki, Szioszek. Trójlistek, Trzowiczek. — **Po 50 f.** Dla malutkich. Wiosenne kwiecie, Podwórze*. **Po 75 f.** Koniczynka, Kopciuszek, Kotki, Wakacye, W cieniu. **Po 1 mk.** Biesiada (gruby karton). **Po 1,25 mr.** Filutki, Fraszki. — **Po 1,50 mr.** A bodaj was! (19 kotków). Bębenek. — **Po 2,50 mr.** Królestwo zwierząt. — **Po 3 mr.** Cuda, Naszym pieszczotkom. Ogółem 41 różnych wysyła za nadesłaniem należytości, obszerne katalogi darmo i franko. Na koszta przesyłki dołączyć należy 10 fen. do każdej marki.

Dembiński B. Msza pasterska,

osnuta na tle melodyi kolendowych polskich, opracowana stylowo na postawie tekstów liturgicznych na chór 4 głosowy mięszany z organami, partytura 4 m., głosy 2,50 m.

*) bez tekstu. 652

A. Cybulski, księgarnia, Poznań.

Bilans i obrót

podpisanej Spółki za rok 1900.

I. Bilans.

Activa.			Passiva.	
—,—	M.	Udziały	39074.38	M.
240720,75	„	Weksle	—,—	„
—,—	„	Depozyta	114616,18	„
—,—	„	Fundusz rezerwowy	1618,03	„
—,—	„	Banki	80063,—	„
—,—	„	Specyalna rezerwa	316,62	„
628,20	„	Gotówka	—,—	„
—,—	„	do dyspozycyi Spółki	5660,74	„
241348,95	M.		241348,95	M.

II. Obrót.

Dochód.			Rozchód.	
40505,65	M.	Udziały	1431,27	M.
491,07	„	Dywidenda wypłacona	491,07	„
		Koszta procesowe i inne wpłaty resp.		
381,25	„	wypłaty	409,30	„
789601,07	„	Weksle	1030321,82	„
234452,37	„	Depozyta	9119836,19	„
1618,03	„	Fundusz rezerwowy	—,—	„
553262,55	„	Banki	473190,559	„
18319,81	„	Procenta	9550,98	„
2676,99	„	Koszta administracyjne	1757,03	„
316,62	„	Specyalna rezerwa	—,—	„
—,—	„	Gotówka	628,20	„
1641625,41	M.		1641625,41	M.

Liczba członków.

Ilość członków z r. 1899	114
Przystąpiło w roku 1900	36
Razem	150
W roku 1900 wystąpiło	10
Na rok 1901 przechodzi	140

Na ostatniem Walnem Zebraniu uchwalono udzielić Członkom 8% dywidendy. 40

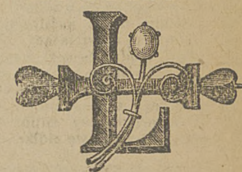
Bydgoszcz, dnia 25. Stycznia 1901.

Bromberger Credit-Verein.

Eingetragene Genossenschaft mit unbeschr. Haftpflicht.

Raciniewski. Kiedrowski. Wenglikowski.

Nowość!



Mówiące fonografy po 25 mk.

Broszka złota dublej sprawdz. opalem tylko **2,50 mk.** wszystkie głoski na składzie. 730

M. Szczepaniak, Krotoszyn, rynek, drugi skład w Ostrowie, ul. Kolejowa.

Cennik darmo.

Szkoła handlowa

polskiego, niemieckiego, francuzkiego, angielskiego i rosyjskiego języka dla dorosłych i dzieci. Przysposabia jednocześnie do egzaminu jednorocznego. 680

Rutkowski,

Berlin N., Invalidenstrasse 35.

Dla czego wahać się jeszcze?



kiedy mój **fabrykat** w Paryżu 1900 premiowany złotym medalem i dyplomem honorowym. 732

Tenże daje najlepszy dowód za dobroć i skuteczność mego sławnego na cały świat środka na porost wąsów **„Kommelin."** Za skutek w kilku tygodniach ręczę. Cena puszki: w sile I 2 mk., w sile II 3 mk., w najniekorzystniejszym razie w sile III 5 mk.

Żadne oszustwo, jak następujące uznanie:

Pan R. Gräschel w Reichenberg pisze nam pod dniem 26 sierpnia 1900: „Jestem w tem miłem położeniu, iż mogę Panu donieść, że Pański **„Kommelin"** osięgnął u mnie doskonały skutek za co składam Panu serdeczne podziękowanie. Fryzyer mój jest skutkiem środka Pańskiego wprost zdumiony i prosi o przysłanie puszki w sile III."

Jedynie prawdziwy sprowadzić można od **Roberta Husberg, Neuenrade Nr. 30** (Westfalia).

W razie bezskuteczności zwracam pieniądze. 732

Spółka szewska

w Poznaniu, 681

St. Rynek nr. 3, przy Ratuszu.

Skład i warsztat wszelkiego obuwia

po niezwykle nizkich cenach.

Wszelkie zamówienia oraz **reparacye** wykonuje się w krótkim czasie.

Usługa skora i rzetelna.

Korzystna posada w Krakowie

dla osoby inteligentnej (czy to mężczyzna czy kobieta), umiejącej dobrze po niemiecku i jeżeli można po francuzku, mogącej pożyczyć do interesu, w którym pracować będzie najmniej 6000 marek gotówką na 7 proc.

Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy" pod lit. **M. nr. 24.**

Spółka Stolarska

Poznań, Grobla 4,

poleca

MEBLE

od skromnych do nader wykwintnych po najniższych cenach.

Cennik odwrotnie franko. 783

Na reumatyzm!

Premiowane 1894 i 1895 r.

nacieranie Dr. Koszutskiego

Salus

znane od 35 lat jako jedyne i niezawodne lekarstwo na reumatyzm, boleści reumatyczno-nerwowe, bolesność w krzyżach po połogu i t. p.

Butelka **50 fen.** i **1 mk.** we wszystkich aptekach i fabryce wyrobów hygienicznych, **Półwiejska nr. 1, I.** — Zważać na znaczek ochronny. 647

Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od

28,000 marek.

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach. 316

John Fowler & Co., Magdeburg.

Najlepsze w swoim rodzaju! Najzdrowsze w swoim rodzaju! Przeszło 500,000 rodzin używało tegoż. Od 60 lat w użyciu. Dowód dobroci i nadzwyczajnych własności. Rzetelny środek domowy, pomocniczy i sprawiający ulgę. Nie powinno zbywać w żadnym domu! Zdumiewająco pomyślne wyniki. Dobrowolnie udzielone, świetne uznania, tysiące dziękczynnych listów! Nazwisko, etykieta opakowanie ochronione przez cesarski urząd patentowy. Uznane jako najlepszy i najskuteczniejszy środek, sprawiający ulgę w kaszlu każdego rodzaju, kaszlu dzieci, kokluszu, kaszlu duszącym, kaszlu kurczowym, kaszlu łechcącym, kaszlu, w którym krew się okazuje, w zaflegmieniu, także najsilniejszego rodzaju, duszności i chrypce, odwilżający, uspakjający kaszel, łagodzący i odwilżający. Jako środek odżywiający i wzmacniający u osób chorych na żołądek i słabowitych, w błędnicy, bezkrwistości, influenzie, suchotach szczególniej wielkiej wartości.



Rysunek zmniejszony czerwonego opakowania.

Wypróbowany miliony razy. Co raz większy popyt. Prawdziwe ziółkowe preparaty Lücka starej, znanej i znacznej firmy C. Lücka w Kołobrzegu są znakomitymi środkami domowymi, które skutkiem ich działania i rzetelności zdobyły cały świat. Żądać należy za darmo sposobu użycia od C. Lücka z Kołobrzega. Cena but. 1 mk., 1,75 mk. i 3,50 mk. Prawdziwe tylko w aptekach do dostania.

Części składowe: 180 kg. czyszczonego miodu 36 kg. soku jarzębinowego, 36 kg. destylowanej wody, 10 kg. wina białego, 1,2 kg. podbiału pospolitego, babki lancetowej, przetacznika, krwawnika, nogietka, 0,6 kg nostrzyka, kłębu wężownika, mchu płucnego, po 2 kg. korzenia omanowego, korzenia goryczki, korzenia fiołkowego i żywokostu.

Nie powinno zbywać w żadnej rodzinie jako pierwsza pomoc.

Opakowania, wyglądające inaczej, jak powyżej zamieszczony rysunek, czerwonego opakowania, należy odrzucić jako nieprawdziwe. Nie ma żadnego równowoźnika, który mógłby zastąpić prawdziwe ziółkowe preparaty Lücka! C. Lücka miód ziółkowy zdrowia wyrobu C. Lücka z Kołobrzegu może być tylko jakprawdziwy sprzedawany.

Elektryczne

Gromochrony
Dzwonki
Telefony
Światło
Siłę

Elektryczne

zakłada, naprawia, rewiduje szybko i poprawnie pod gwarancyą 664

F. Biskupski, Poznań

Specyalne przedsiębiorstwo instalacyi elektrycznej.

Nr. 11 ul. Berlińska Nr. 11

pierwsze! piętro pierwsze!

Firma fundowana w r. 1880. Telefon Nr. 108.

R. Tilgner, Pleszew.

Płaszcze gumowe nieprzemakalne, fabrykat angielski, ceny bardzo tanie. Dla Panów od 20 do 30 mk. Przy zamówieniu wystarczy nadesłać objętość piersi, i objaśnie wysokości osoby. Przesyłka za zaliczką, którą ewentualnie się zwraca. 728

P. P.

Szanownym Panom właścicielom w **Grodzisku** i okolicy polecam się jako

pompiarz.

Podejmuję się wszelkich robót przy wodociągach, pompach i studniach. Prosząc o łaskawe poparcie mego przedsiębiorstwa, zostaję z wysokim szacunkiem 39

Marcin Olszewski.

Tanie książki ludowe!

Śpiewnik narodowy, Sowizdrzał z obr., Czarodziejska lampa, Kopciuszek, Śniegulinka, Słowik, Młody pustelnik, Urban Długonos, Genowefa, Bolesław, Sześć ciek. bajek, Gołąbek, Gry towarzyskie, Ludwik młody wychodźca, i kalendarz illustrowany. Powyższe 15 książek daję za 3,50 mk. fr. i herbik polski w dodatku! Zortuję też innych 15 książek lepszych za 4,50 mk Polecam mianowicie nader śliczne powieści moralne: Wierność i litość, Listownik uczący pis. wszel. listów, Listownik miłosny, Zbiór powinszowań wierszem, Oracye i przemowy drużby, Kto winien?, Szczęście na wsi, Justynia Bettusa, Grabczycha po 60 fen., Gruby narodowy śpiewnik z nutami i bez 1 mk. Kalendarze różne, Pan Twardowski z obr., Górka Klemensowa, Sądy Boże, Odpuść nam, Petronela pustelnica, Trzy śluby, Powiastki ludowe tom I II III i IV z obr. po 50 fen. i inne powieściowe, do nabożeństw, szkolne etc. Polecam też „*Krzyżacy*“ prześliczną pow. oryg. Sienkiewicza, wielka księga przeszło 1120 str. brosz 2,50 M., gustownie opr. 3.50 M., porto 25 fen. Zapas „Krzyżaków“ już bardzo mały. „Genowefa hrabina i pustelnica“ w 50 zeszytach z illustracyami zeszyt 10 fen., całe dzieło 4.50 mk. „Sieroty“ 40 zeszytów z illustr. komplet za 3,50 mk. — Sprowadzam także różne inne nakłady na żądanie. — Adresować proszę krótko:

Fr. Wiśniewski.

Mogilno. (Pr. Posen).

St. Mańczak.

Poznań, Wilhelmowska ul. 24.

poleca

wielki wybór wyrobów złotniczych

wykonanych przeważnie w własnej fabryce po cenach bez konkurencyi.

Każdemu kupującemu, który powoła się na ten anons ofiaruję piękny album widoków Poznania. 45

Ucznia

z dobremi wiadomościami szkolnemi poszukuje

Antoni Rose.

Skład materyałów piśmiennych i tapet. 44

Kuryery weselne

i inne humorystyczne wiersze układa. Kto, wskaże Ekspedycya „Pracy“.

Osiadłem w Poznaniu

i ordynuję w mieszkaniu ś. p. radcy Dr. Köhlera 28

przy ul. Rycerskiej nr. 3.

Przyjmuję od 10 do 12 i od 3 do 4½.

Dr. Tad. Dembiński

Specyalista w chorobach krtani, nosa i ucha.



Piękne

bukiety,

kosze,

wieńce,

dekoracye

wszelkiego rodzaju

tanio wykonuje 41

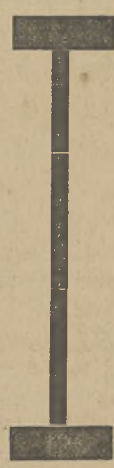
zakład ogrodniczy

„FLORA“

Anna Kwiatkowska

ul. Wodna nr. 2. Poznań. ul. Wodna nr. 2.

Wysyłki pocztą w starannem opakowaniu.



Podciągi (tragarze)

filary, okna

i wszelkie inne artykuły do budowli

poleca 35

w wielkim wyborze

i po przystępnych cenach

T. Krzyżanowski,

Poznań,

Szewska ul. Nr. 17.

C. Ogiński

dentysta.

Przyjmuję w dnie powszednie od 9—1 i od 3—6. W niedzielę i święta zamknięte.

Św. Marcin, nr. 68, 736

I piętro wprost Piekar.

Folwark

w Buku Nr. 74 w najbliższem położeniu miasta, obszaru 144 mórg, z których 24 mórg najprzedniejszej łąki, jest z wolnej ręki do sprzedania.

Bliższa wiadomość: 25

Józefa Żuromska w Buku.

Koń z łękami w poprzek. (Ułożył Blichtr.)

Stopień I każde ćwiczenie:

Z rozbiegu skok do podporu — następnie:

1. Odskok na mostek z $^1/_4$ obrotem w lewo.
2. „ „ „ z $^1/_4$ „ w prawo.
3. Klęknąć prawą nogą w siodle — lewą nogę wyprostowaną podnieść wstecz — zeskok na mostek.
4. Klęknąć l. nogą w siodle — pr. nogę wyprostowaną podnieść wstecz — zeskok na mostek.
5. Klęknąć obunóż wsiodle — l. nogę wyciągnąć po nad kark konia — powrót l. nogi do klęczenia — zeskok na mostek.
6. Klęknąć obunóż w siodle — pr. nogę wyciągnąć po nad grzbiet konia — powrót l. nogi do klęczenia — zeskok na mostek.
7. Lewą nogą półkole okroczne wprzód pod lewą ręką do siadu na lewym udzie — tą samą nogą półkole wstecz pod lewą ręką — zeskok na mostek.
8. Pr. nogą półkole okroczne wprzód pod pr. ręką do siadu na prawym udzie — tą samą nogą półkole wstecz pod prawą ręką — zeskok na mostek.
9. Półkole okroczne wprzód l. nogą pod l. ręką do podporu równoważnego pobok (Seitschwebestütz) w siodle — półkole okroczne wstecz l. nogą pod l. ręką — odskok na mostek z $^1/_4$ obrotem w lewo.
10. Półkole okroczne wprzód pr. nogą pod pr. ręką do podporu równoważnego pobok (Seitschwebestütz) w siodle — półkole okroczne wstecz prawą nogą pod pr. ręką — odskok na mostek z $^1/_4$ obrotem w prawo.

Stopień II.

Z rozbiegu skok do podporu — następnie:

1. Przedmach po nad karkiem konia — odmach doskoku na mostek.
2. Lewą nogą przedmach po nad karkiem konia — odmachem przedmach odboczny obunóż w prawo do

podporu leżącego bokiem na koniu (nogi oparte na grzbiecie konia) — zeskok na mostek.

3. L. n. przedmach po nad karkiem konia — odmachem odboczka w prawo (po nad grzbietem) do podporu tyłem — poziomka nóg — odskok.
4. L. n. przedmach po nad karkiem konia — odmachem odboczka obunóż w prawo (po nad grzbietem) do podporu tyłem wsiad okroczny z $^1/_2$ obrotem w lewo na kark konia — nachwyt za łęki i zawrotka w lewo.
5. To samo lewą nogą — tylko z podporu tyłem półkole wstecz lewą i prawą nogą — odskok wprzód. Wszystkie ćwiczenia w lewą i w prawą stronę.

Stopień III.

Skok do podporu — następnie:

1. Koło okroczne lewą nogą do środka do podporu przodem — kuczka do doskoku.
2. Koło okroczne lewą nową (do środka) do podporu przodem — prawą nogą przedmach okroczny po nad tyłem konia — odmach tą samą nogą — odboczka w lewo do doskoku.
3. Koło okroczne do środka lewą nogą do podporu przodem — kuczka obunóż do podporu tyłem — półkole wstecz lewą nogą pod lewą ręką — półkole w przód tą samą nogą — poziomka nóg i odskok.
4. Koło okroczne na zewnątrz lewą nogą (pod pr. nogą i pr. ręką) do podporu przodem — półkole okroczne wprzód prawą nogą pod prawą ręką — to samo lewą do podporu tyłem — odboczka wstecz w prawo do doskoku na mostek.
5. Przedmach okroczny lewą nogą (po nad karkiem) — odmachem odboczka w prawo do podporu tyłem — przedmach odboczny obunóż w prawo — koło

skrzyżnie przez lewą poręcz — dochwyt rękoma w przodzie — wyskok zawrotny w lewo.

9. W odmachu — spad na przedbarki — wychwyt zamachem — z odmachu półkole obunóż przez prawą poręcz do przodu — wyskok zawrotny w prawo.
10. W odmachu — to samo — tylko półkole obunóż przez lewą poręcz — wyskok zawrotny w lewo.

Dodatek do „Pracy“ nr. 5.

Styczeń 1901.
Wieczory ćwiczebne.

(Skreślił W. Gładysz).

Ćwiczenia rzędowe. Ustawienie: szereg czelny; każde ćwiczenie 3 razy.

Odlicz do czterech — raz!...
Czelnym pochodem naprzód cho — dem! (równając się w prawo).
Stanąć — stój!
Wstecz — zwrot!
Naprzód cho — dem! (równając się w lewo).
Stanąć — stój! (wstecz — zwrot!)
W lewo — skos cho — dem! (po zwrocie:)
W prawo — skos cho — dem! (stanąć).
W lewo — bok cho — dem!
W prawo — bok cho — dem!
(W szeregu w prawo zwrot: w rząd do pochodu bocznego).
Naprzód cho — dem! (prawy skrzydłowiec pierwszym).
W lewo (w prawo) za — chódź! (w pochodzie).
W lewo (prawo) przeciw cho — dem!
Stanąć — stój!

Ćwiczenia wolne. (W rozstępie wolnym każde ćwiczenie 3 razy).

Kurczenie i wyrzucanie ramion. (Pięści zwinięte).
Ramiona skurcz i rzuć w przód — raz — dwa!
„ „ „ pion — „ „
„ „ „ bok — „ „
„ „ „ dół — „ „

okroczne *wstecz* prawą nogą pod lewą nogą i ręką — przeskok odboczny wstecz w lewo na mostek z $^1/_4$ obrotem w lewo.
Wszystkie ćwiczenia w lewą i w prawą stronę.

Poręcze, wysokość barku (Ułożył Blicht).

Stopień I.

Skok z rozbiegu z mostka do podporu poprzek na końcu poręczy następnie:
1. Z przedmachu siad okrakiem na pr. poręczy — zesiad odwrotny w prawo.
2. Z przedmachu siad skrzyżny lewem udem (na prawej poręczy) — przerzut odwrotny w lewo.
3. Z przedmachu — to samo jak ćw. 2 — tylko przerzut odboczny w lewo.
4. Z przedmachu — to samo jak ćw. 2 — tylko przerzut zawrotny w lewo.
5. Z przedmachu — siad rozkroczny przed rękoma — $^1/_4$ obrotem w prawo do siadu okrakiem po bok (na obu poręcz) — przeskok zawrotny w prawo.
Wszystkie ćwiczenia w lewą i w prawą stronę.

Stopień II.

W każde ćwiczenie skok z rozbiegu do podporu poprzek *w środku* poręczy następnie:
1. Z przedmachu wyskok odwrotny w prawo.
2. „ „ „ w lewo.
3. „ „ odboczny w prawo.
4. „ „ „ w lewo.
5. „ „ zawrotny w prawo.
6. „ „ „ w lewo.
7. Zamachem — pr. nogą półkole po nad prawą poręczą do przódu — wyskok zawrotny w prawo.

2. Dwuchw. poprz. — nogi wznieść, rozkrocz (przysuwając do rąk, stopy ponad drążkiem) — odpad.
3. Jak 2 — $^1/_4$ obr. w p., l. r. nachwyt, pr. nogę przesuń prostą (odbaczając) pod dr. nogi złącz — odpad.
4. Jak 2 — $^1/_4$ obr. w l., l. r. nachwyt, zwieszenie leżące na pr. przedudziu zewnątrz rąk — wspieranie — pr. nogę odbocz — odskok wstecz.
5. Jak 3 — l. nogę przesuń pod dr. — zwiesz. leż. na l. przedudziu — wspier. — lewą odbocz — odskok wstecz.
6. Jak 2 — wspieranie prawą spad wstecz — (końce nóg przy dr.) — pr. nogę przesuń — wymyk do podporu — odskok wstecz.
7. Odwrotnie.

Stopień III.

Drążek doskocznie.
1. Zwieszenie nachwytem — wywijanie — w zamachu tylnym na l. przedbark — w przedudziu wróć — odskok wstecz.
2. Tożsamo — pr. przedbarkiem.
3. Jak 1 — w przednim zamachu l. nachwyt i pr. przedudziem na drążek zewnątrz, rąk do zwiesz. leż. na pr. przedudz. — pr. nogę wyprostowaną odbocz i odskok wstecz.
4. Tożsamo — pr. przedbarkiem i l. przedudziem.
5. Jak 3 — dołączając wspieranie pr. przedudem — pr. nogę odbocz i odskok wstecz (z podporu).
6. Tożsamo — pr. przedbarkiem i l. przedudziem.
7. Jak 5 — po wspieraniu pr. nogę odbocz — kołowrot wstecz i odskok wstecz (łącznie).
8. Tożsamo — pr. przedbarkiem i l. przedudziem.
Przy 7 i 8 zamiast zwykłego kołowrotu można kołowrot olbrzymi zrobić.

Do zgięcia ramiona — skurcz!
Rzuć ramiona w przód i skurcz — raz — dwa!
„ „ pion „ „ „
„ „ bok „ „ „
„ „ wstecz „ „ „
Ramiona o—puść!
Od przodu ramiona skurcz i rzuć w przód — raz — dwa!
Ramiona o—puść!
Wznieś ramiona w przód — raz!
Ugnij ramiona i prostuj w przód — raz — dwa! (ramię górne poziomo).
Wznieś ramiona w bok — raz!
Ugnij ramiona i prostuj w bok — raz — dwa!
Ramiona o—puść!

Drążek. (Ułożył Okowa).

Stopień I.

Drążek wysokości czoła! postawa zasadna: poprzek w końcu drążka.
1. Dwuchwyt poprzek — nogi (prosto) rzuć wprzód, potrącając końcem stóp drążek (3 razy),
2. Dwuchw. poprz. — zwieszenie leżąc poprzek na pr. przedudziu — lewą prostuj — odpad.
3. Odwotnie.
4. Jak pod 2 — następnie: pr. r. przysuń do kolana, lewą przechwyć, $^1/_4$ obrotu w pr. do zwieszenia leżąc (pobok) na pr. przedudzie zewnątrz rąk — z powr. i odpad.
5. Jak 4, lecz na drugą stronę.
6. Jak 2 — pr. ręką chwyć zewnątrz do zwieszenia leżąc (pobok) na pr. pr. przedudziu wewnątrz rąk — z powrotem — odpad.
7. Jak 6, lecz na drugą stronę.

Stopień II.

Drążek wys. czoła; postawa zas.: poprzek w końcu d.
1, Dwuchw. poprz. — nogi skrzyżuj na drążku do zwiesz. leżąc w poprz. - odpad (tułów i nogi wypr. i w jed. linii).

8. Zamachem półkole lewą nogą po nad lewą poręczą do przodu — wyskok zawrotny w lewo.
9. Stanie na barkach — z tegoż półkole prawą nogą przez prawą poręcz — do przodu wyskok zawrotny w prawo.
10. Stanie na barkach — z tegoż półkole lewą nogą po nad lewą poręczą — wyskok zawrotny w lewo.

Stopień III.

Każde ćwiczenie:
1. Skok z rozbiegu do podporu poprzek w środku poręczy następnie:
W odmachu spad na przedlarki — wychwyt zamachem do siadu okrakiem na prawej poręczy — zeskok odwrotny w prawo.
2. W odmachu — to samo — tylko ze siadu na lewej poręczy — zeskok odwrotny w lewo.
3. W odmachu — to samo — tylko ze siadu na pr. poręczy zamach do środka poręczy — wyskok zawrotny w prawo.
4. W odmachu — to samo — tylko ze siadu na lewej poręczy — zamach do środka poręczy — wyskok zawrotny w lewo.
5. W odmachu spad na przedbarki — wychwyt zamachem — w odmachu półkole pr. nogą po nad pr. poręczą — wyskok zawrotny w prawo.
6. W odmachu — to samo — tylko półkole lewą nogą po nad lewą poręczą — wyskok zawrotny w lewo.
7. W odmachu — spad na naprzedbarki — wychwyt zamachem — z odmachu półkole pr. nogą po nad pr. poręczą do przodu — z przedmachu półkole lewą nogą skrzyznie przez pr. poręcz do tyłu — dochwyt rękoma w przodzie — wyskok zawrotny w prawo.
8. W odmachu — to samo — tylko lewą nogą półkole po nad lewą poręczą — prawą zaś nogą